

Kamena

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Białystok — Kielce — Lublin — Rzeszów

ROMUALD KARAS

Romantycy i Realści



Fot. Janusz Urban

W CHODZIMY w okres kolejnej kampanii wyborczej do Sejmu i rad narodowych. W toku tej kampanii partia nasza, ZSL, SD — wszystkie siły demokracji socjalistycznej skupione we Froncie Jedności Narodu zdadzą sprawę przed społeczeństwem z tego, jak został wykonany program wyborczy 1961 r. w skali państwa i w skali każdego województwa, powiatu, miasta, gromady oraz przedstawia wyborcom program działania na przyszłość.

Podstawą tego programu staną się generalne założenia następnego planu 5-letniego i główne wytyczne naszej wewnętrznej i zagranicznej polityki, które uchwaliliśmy na naszym IV Zjeździe i które zostały zaaprobowane w uchwałach kongresów pozostałych stronnictw, jak również związków zawodowych, organizacji młodzieżowych i innych organizacji społecznych”.

(Z referatu Biura Politycznego KC PZPR na III Plenum KC).

DO najciekawszych zjawisk społecznych Lublina — a i innych miast także — należy powstawanie nowych dzielnic na peryferiach. Wiąże się to między innymi z pewną rywalizacją ze śródmieściem, z wy-

stępującymi tam formami życia. Jako dowód może posłużyć Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa i jej Osiedle im. A. Mickiewicza.

Choć głośno o niej w całej Polsce, choć za granicą też już staje się znana — nie dość jasna wydaje się historia jej sukcesów, ukazanie źródeł powodzenia. Stąd LSM traktuje się jako coś idealistycznego, coś, co wyrosło jakby poza normalnym życiem pełnym trudności i kłopotów. Następnym takim zapatrywać bywa przekonanie, że mamy do czynienia ze zjawiskiem wyjątkowym i — mało tego — niepowtarzalnym. Spróbujmy więc spojrzeć na zagadnienie z innej strony, ukazując niejako życie „od podszewki”, rozszyfrowując zagadki spółdzielczego osiedla.

Powodzenie każdej inicjatywy, każdego przedsięwzięcia zależy od ludzi, ich poziomu, przygotowania zawodo-

cy szukali właściwego miejsca w życiu, chcieli dać z siebie możliwie wiele, wykazać się bardzo konkretnymi, widocznymi osiągnięciami. Realizm połączony z romantyką kazał im szukać rozwiązania jednej z najtrudniejszych kwestii — problemu mieszkaniowego. Tak stali się twórcami Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Fakt powstania LSM niegdzie sam w sobie nie zwiastował. Październikowe przemiany stworzyły bowiem klimat sprzyjający rozwojowi spółdzielczości mieszkaniowej. W tym czasie powstawały dziesiątki spółdzielni. Ich historia była bardzo różna: od chwalebnej poprzez... kryminalną. Idea budowy mieszkań stała się magnesem przyciągającym różne elementy: czasem nawet cwaniackie i prze-

„Trudno dzisiaj ściśle określić, jakie rozmiary przyjmie spółdzielczość budownictwa mieszkaniowego w najbliższym 5-leciu. Generalna linia partii w tej sprawie zmierza do jak najszerszego budownictwa spółdzielczego. Przemawia za tym wiele ważnych okoliczności. Spółdzielczość mieszkaniowa wyzwała wśród swych członków — lokatorów troskę o gospodarność i oszczędność w wydatkach eksploatacyjnych, dbałość o utrzymanie swych domów w należyłym stanie...”

(Z przemówienia Władysława Gomułki na III Plenum KC PZPR)

wego, energii, umiejętności postępowania. Są to rzeczy tak znane, że aż tracą truzimem. Ale, niestety, wiele razy zapominamy o tym podstawowym warunku powodzenia w podejmowaniu tych czy innych problemów.

Twórcami Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej była grupa osób — w większości prawników — której wspólną cechą stawał się okazywany stałe niepokój twórczy. Coś, co kazało im szukać nowych, trudnych do rozwiązania zadań. Coś, co czyniło ich przeciwnikami biurokratyczno-urzędniczego modelu działania.

Znali się z czasów studiów, z kontaktów osobistych i zawodowych, z pracy społecznej. Nim przystąpili do realizowania wspólnej idei — tworzył już pewien kolektyw. Oni wszyscy

szli. Ale to były marginesy. Spółdzielczość przechodziła — jeśli weźmie się pod uwagę całokształt zjawisk — swój niewątpliwie renesans, który torował jej drogę do sukcesów o wiele większych niż przedwojenne. Charakterystyczne jednak, że z licznych spółdzielni w kraju na czoło wybiła się już od początku swego powstania Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa. Co na to wpłynęło?

Twórcy LSM byli ludźmi ryzyka. Sukcesy spółdzielni uzależnili od przelamania pewnych praktyk ograniczających rozwój spółdzielczości mieszkaniowej w skali kraju. Wymagało to na początku postępowania nawet sprzecznego z przepisami. Tak było na przykład z wywłaszczeniem

(Dokończenie na str. 2)

Kosmiczny spacer



18 marca 1965 roku w ZSRR wystrzelono w przestrzeń kosmiczną statek-satelitę „Woschod-2”. Na pokładzie znajdowali się: dowódca plk Paweł I. Bielajew oraz II pilot pplk Aleksander A. Leonow. Aleksander A. Leonow był pierwszym w dziejach ludzkości człowiekiem, który wyszedł na 20 minut z pędzącego statku. W ten sposób otwarty został nowy rozdział w zdobywaniu Kosmosu.

Na zdjęciu: obaj kosmonauci na Pl. Czerwonym w Moskwie.

Romantycy i Realści

(Dokończenie ze str. 1)

terenu pod osiedle spółdzielcze, co oznaczało wówczas wkroczenie w przywileje państwa. Tak było także z ulokowaniem pieniędzy członków nie w banku, lecz w PKO, co dawało odsetki.

Te dwie decyzje były precedensowe i po ciężkiej walce o ich utrzymanie utworzyły drogę praktyce ogólnopolskiej. Wygrana LSM nie dotyczyła więc własnego podwórka, lecz obejmowała szeroko pojęty interes społeczny. Stała się normą prawną obowiązującą po dziś dzień.

Bez improwizacji

Dalsze sukcesy odnosiły się głównie do strefy organizacyjnej. Bez improwizacji, szumnych zapowiedzi realizowano nakreślone plany. Nie nawiązywano przede wszystkim do modnej praktyki, że dokumentację techniczną przygotowuje się nawet nie na dziś, lecz na... wczoraj. Była ona wykonana z znacznym wyprzedzeniem i obejmowała obiekty, które za kilka lat zostaną dopiero wybudowane.

Wybrano projektantów wnoszących trwały wkład do urbanistyki. Uznanie, że jeśli nawet doraznie kosztuje to drożej, w końcowym efekcie sowiecie się opłaci. W efekcie — Osiedle Mickiewiczowskie uznane jest za jedno z najpiękniejszych w Polsce. Co raz częściej mówi się także, iż rewelacją okazało się Osiedle im. Słowackiego, projektowane przez Oskara Hansena, który większą sławę cieszy się za granicą niż w Polsce. Również Osiedle Piastowskie projektu małżeństwa Piechotków zapowiada się nader interesująco.

O tych osiągnięciach organizacyjno-inwestycyjnych, o stałej walce, aby budować możliwie najtaniej, a mimo to dobrze — niewiele się mówi, lecz to są podstawy przodującej pozycji, zajętej przez LSM w spółdzielczości mieszkaniowej w Polsce. Dobre wyniki ekonomiczne, należyte przygotowanie inwestycji decydują o rozwoju spółdzielni, o budowie coraz większej liczby mieszkań, o zdobyciu pozycji potentata mieszkaniowego. Jest w tym zasługa prawników, ekonomistów, inżynierów i personelu administracyjnego spółdzielni. Mamy tu do czynienia z kolektywem fachowców, którego może zazdrościć niejedno najlepsze przedsiębiorstwo państwowe.

Każdy — gospodarzem

Alc czy te wyniki ekonomiczne mogłyby zdecydować o sławie LSM? Czy byłoby to powód szerokiego zainteresowania? Sądzić należy, że raczej nie. Do pełnego sukcesu, obok osiągnięć gospodarczych, potrzebne były i pewne rozwiązania społeczne, występujące w Osiedlu Mickiewiczowskim LSM. One właśnie najbardziej eksponują spółdzielczą dzielnicę, czynią ją sławną w skali ogólnopolskiej, a nawet i za granicą. Specyfika jest tu pewien odmienny stosunek mieszkańców do życia dzielnicę, do spraw ogółu. Każdy czuje się tu gospodarzem nie tylko swego lokatorskiego mieszkania, lecz osiedla. Walczy o jego dobro, przyczynia się do podnoszenia estetyki, czystości, porządku, zachowania spokoju. Czym wy tłumaczyć tę prawdziwie społeczną postawę? Czy może mieszkańcy osiedla tak się dobrali, że tworzą wyjątkowy skład?

Częścią ich życia...

Mieszkańcy są zwyczajni. Niczym właściwie nie różnią się od tych z Bronowia czy Starego Miasta. Nie stanowią jakiejś arystokracji współczesnej. Pracują, zakładają rodziny, wychowują dzieci, borykają się z niełatwymi warunkami życia. Przez długi czas mieszkali w bardzo trudnych warunkach. Gnieździł się w starych ruderach lub też zaznawali smaków sublokatorskich. Gdy stali się członkami LSM, całą swoją nadzieję związali z otrzymaniem mieszkania. Oni niemal każdą wolną niedzielę spędzali na spacerach po gliniastym wzgórzu, na którym w wyobraźni widzieli swoje wymarzone kąciki. Oni uczuciowo towarzyszyli powstawaniu osiedla. Staowało się częścią ich życia.

Ten olbrzymi kapitał zainteresowania, ta uczuciowa więź z nową dziel-

nicą nie zostały zmarnowane. Dzięki mądrym inicjatywom prezesa LSM — mgr Stanisława Kukuryki, dzięki umiejętności porozumienia z pierwszymi mieszkańcami osiedla doszło do stworzenia nowych zwyczajów, kształtowania się postaw odmiennych niż spotykane w innych dzielnicach miasta — do szerokiego rozwoju pracy społecznej na rzecz dzielnicy, na rzecz każdego z mieszkańców. Wszystkie przedsięwzięcia odznaczały się realnością i przydatnością życiową. To spowodowało np. że nie wprowadzono instytucji dozorców. Mieszkańcy sami — obojętnie jeśli chodzi o ich wykształcenie czy stanowisko — sprzątały klatki schodowe, pastują je i froterują. Okazuje się, że nikomu przez to korona z głowy nie spada. Jest natomiast w blokach o wiele czystszej niż w każdej innej dzielnicy, gdzie są dozorczy.

Traktowanie osiedla jako wspólnego dobra wiązało się z wytworzeniem swego rodzaju patriotyzmu lokalnego. Ambicją ludzi stało się pragnienie, aby ich dzielnica wyglądała ładniej niż inne. To sprzyjało rozwojowi czynów społecznych w bardzo różnorodnej formie. Sadzenie krzewów i drzewek, zakładanie trawników, porządkowanie placów stworzyło z osiedla oazę zieleni, miejsce wypoczynku. Udział mieszkańców w tych pracach spowodował, że szanują oni to, co zrobili. Ich stosunek rozciąga się także na młodzież i dzieci pomagające niejednokrotnie w wykonywaniu robot.

Od odczytów do latawców

Rozwój czynów społecznych objął także dziedzinę kulturalno-oświatową. Dzięki temu osiedle nie jest jakąś pustynią kulturalną, lecz tętni życiem. Wiele form pracy stało się już tradycją. W każdy piątek tygodnia odbywają się w klubie spotkania z pisarzami, publicystami, aktorami, przedstawicielami życia politycznego. W niedziele dla melomanów organizowane są wieczorki muzyczne. W poniedziałek klub kobiet organizuje stałe dla swych członkiń prelekcje. Stałą działalność prowadzi kilka zainteresowań: dzieci poznają tajniki plastyki, młodzież uczy się sztuki recytacji. Szeroko rozwinęła się sztuka fotografowania. Grono osób z Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego stworzyło tu kółko fotograficzne dla dzieci, młodzieży i starszych. Szachści z LSM odnoszą sukcesy w szachach wojewódzkich. Młodzi piłkarze wywalczyli puchar w turnieju dzikich drużyn Lublina. Pasją chłopców stało się modelarstwo. Coraz więcej zbywców, latawców i modeli samolotowych ze znakiem LSM zdobywa w zawodach nagrody i dyplomy. W osiedlu rozwija się mało popularne w Polsce dyscypliny sportu: tenis, luznięctwo, gimnastyka artystyczna, rytmika. Stało się to możliwe dzięki popieraniu przez zarząd LSM każdej inicjatywy społecznej wychodzącej od członków. Jest to możliwe z uwagi na stworzenie odpowiednich warunków pracy. Kluby, sekcje, kółka uzwskują lokalki, przeważnie w specjalnie adaptowanych pomieszczeniach piwnicznych. Na wyposażenie tych lokali były spółdzielnia, a także członkowie, którzy oświadczyli się doborowo na cele społeczno-kulturalne. Z pomocą społeczeństwa także przedsiębiorstwa i instytucje, których pracownicy mieszkają w osiedlu LSM.

W rozwoju tych różnorodnych form działalności społecznej dużą rolę odgrywa samorząd LSM. Jego rola sprowadza się głównie do koordynacji prac poszczególnych klubów, sekcji, kół. Pola samorządu, poszczególnych komisji będzie stawała się coraz większa w miarę powstawania nowych osiedli, do których będą przenoszone doświadczenia Osiedla Mickiewiczowskiego.

Dzielnica młodych

Jakie jest Osiedle Mickiewiczowskie? Co składa się na jego charakter?

Jest dzielnicą ludzi młodych: przeciętna wieku wynosi 33 lata. Jest dzielnicą dzieci. Nie niszczą one jednak zieleni, nie hałasują po korytarzach i pod oknami. Stało się to mo-

żliwe dzięki stworzeniu placów zabaw. Dziesiątki bardzo atrakcyjnych, bo nietypowych urządzeń zabawowych przykuwa uwagę maluchów, stwarza dla nich wielkie atrakcje. Jest to zrealizowany świat dziecięcych marzeń, do którego można jeździć rakiętą kosmiczną stojącą na środku placu, samochodem marki „Jaś i Małgosia”, dziesiątkiem karuzeli, wirownic...

Każdy wolny skrawek placu w Osiedlu Mickiewiczowskim został wykorzystany pod urządzenia zabawowe. Dzięki temu w dzielnicy został rozwiązany najważniejszy problem — zapewnienia wolnego czasu dzieci. Godziwa, kształcąca rozrywka jest tu na każdym kroku.

Wielką funkcję społeczną pełni w osiedlu harcerze. Ich praca jest bardzo pomocna mieszkańcom. Sama tylko poczta harcerska, funkcjonująca od lat, przynosi dziesiątki tysięcy złotych oszczędności zarządowi LSM, który nie wydaje pieniędzy na znaczki pocztowe, ma ułatwiony kontakt codzienny z członkami spółdzielni.

gorzej przedstawiają się natomiast sprawy młodzieży starszej. Szczególnie tej, która nie pracuje i nie uczy się. Przysparza ona licznych kłopotów mieszkańcom i władzom spółdzielni. Ale jest to zjawisko powszechne w skali kraju — tu o tyle łagodzone — że młodzieńcy są pod stałą kontrolą i przeglądem opinii publicznej.

Specyfika osiedla

Cechą znaną osiedla LSM jest fakt, że nie ma w nim ani jednej sutereny, ani jednego zagrybionego mieszkańca. Ludzie mieszkają wygodnie, przyjemnie, nowoczesnie. Czy są finansowymi potentatami?

Srednia zarobków na jedną osobę w rodzinie wynosi 900 zł. Jest to kwota, która kwalifikuje do otrzymania mieszkania od państwa. Członkowie spółdzielni znajdują się więc w

niełatwej sytuacji materialnej. Zażalenie w ORS, w kasach zapomogowo-pozyczkowych skłania mieszkańców do życia oszczędnego, do liczenia się z każdym groszem. Nie ma — chyba właśnie dzięki temu — przejawów hubalskiego trybu życia. Osiedle jest nader spokojne. Nie ma w nim kłótni, awantur. To jest jego specyfika, która nie tylko lubelska.

Jaka przyszłość?

Osiedle Mickiewiczowskie jest jedną z nielicznych, samowystarczalnych dzielnic, w zasadzie niezależnych od centrum miasta. Dzięki współpracy z Lubelską Spółdzielnią Spożywców ma doskonałą sieć nowoczesnych sklepów i coś, co jest dumą kobiet — Dom Praktycznej Pani. Ten Dom to kombinat usług przeróżnego rodzaju, poczynając od fryzjerskich, a kończąc na elektrycznym maglu. Jest to obiekt wielkiego zainteresowania zarówno pań inżynierowych jak i pomocy domowych.

LSM jest dzielnicą, w której nie bieżąco rozwiązuje się problemy szkół, przedszkoli, żłobków. Powstają nowe piękne obiekty, które stają się wzorowymi placówkami wychowawczymi. Ten fakt określi postawę przyszłych członków spółdzielni, dziś maluchów lub uczniów szkół.

Jaka będzie przyszłość LSM? W nowo powstających osiedlach zamieszka 25 tys. mieszkańców. Zostanie wybudowany dom społeczno-usługowy z salą teatralną i kinową. Powstaną wiele boisk, wybuduje się basen kąpielowy, tor narciarski i saneczkowy. Nie powstanie jednak ani jedna restauracja z wyszynkiem wódek. Rozwijać się za to będą obiekty usługowo-nastawione na ulżenie w pracy gospodyniom domowym. Jest to program w pełni realistyczny. A mimo to naprawdę romantyczny.

Romuald Karas

Przeгляд Prasy

REPORTER przez parę tygodni jeździł po województwie, szukając śladów społecznej aktywności mieszkańców wsi. We wszystkich jej przejawach. Swoje doświadczenia i obserwacje drukuje B. ZAPALA, bo on to był tym reporterem, w „MAGAZYNIE NIEDZIELNYM” kieleckiego „SŁOWA LUDU” w artykule końcowym „Zamiast podsumowania”. „W każdej uści plisz — zadawałem pytanie: „dlaczego, po co?” Po co budujecie dom ludowcy, łaźnie, ośrodki zdrowia, szkoły? Dlaczego to wszystko robicie? Chcę wam się jeździć do teatru, wysiadywać wieczorami przy telewizorach, zabiegać o wodociągi, gaz, prąd elektryczny? Przecież jeszcze nie tak dawno nie mieliście podobnych potrzeb.

Ludzie kiwali głowami. „Kpi, czy o drogę pita?”. Nie zrażałem się. Chciałem poznać motywy ich postępowania, poznać sprężynę działania”.

Autor przedstawia przebieg powojennych procesów migracyjnych na wsi, które doprowadziły do masowego odpływu ludzi ze wsi do miasta. Odeszli młodzi, najbardziej energiczni. Ale obraz wielkiego światła, jak przywoził potem do rodzinnych stron, działał żarłowiec. I ci, którzy pozostali, chcieli lepiej żyć. Doszli do wniosku, że na wsi trzeba się urządzić, trzeba wsię zmienić gruntownie. Tu tkwi źródło owego wielkiego ruchu społecznego, który zaczął się od troski o własne obce, a doprowadził do wielu pozytywnych inicjatyw obejmujących całą społeczność wiejską.

Nie wszystko, oczywiście, postępuje łatwo i gładko. Ale wcale jest, że chłopi coraz częściej i śmielej zastanawiają się nad kształtem przyszłej, nowoczesnej wsi.

Ten ruch objął zresztą nie tylko wsi, ale i małe miasta. Ot, choćby historyczny Pińczów, o którym także w „Magazynie Niedzielnym” pisze T. HARTOSZ w reportażu „Pińczowskiej historii karty nowe”.

„Pińczów przeszedł wiele. Jego życiorys podobny jest do losu człowieka. Zapisane w nim okresy szczęśliwego rozwoju i rozkwitu, potem lata zmagani, kłes, rozpacz, ruiny. I znów lata rozkwitu, dzwignia się z upadku...” Teraz Pińczów ładnie rozwija się, ma się czym pochwalić. Dobrze pracuje Powiatowy Dom Kultury, wspólnie z nauczycielami założono 50-osobowy nauczycielski zespół pieśni. W ciekawej i ambitnej działalności oświatowej biorą udział zwłaszcza ci, którzy przeszli przez Uniwersytet Ludowy w Rożnicy, prowadzony przez pisarza Waldemara Babinicę.

O podobnych sprawach pisze Z. DUBLEWICZ w artykule „Na wsi z dyplomem” w „KULTURZE I ZYCIU” dodatku do „SZTANDARU LUDU”. Ukazała ona na przykładzie dwu miejscowości — Pożoga kolo Puław i Firleja w powiecie lubartowskim, jak z inspiracji miejscowego nauczyciela i inteligencji ożywia się życie kulturalne, jak przychodzi na wies oświata, jak otwierają się okna na szeroki świat. I tu w Firleju podobnie jak w Pożogu — kończy autorka — nauczyciel nie jest sam. Zapoczątkowany proces integracji inteligencji wiejskiej przyczynia się do powstawania silnych i przetrwałych grup. Zmienia się korzystnie klimat wokół wartościowych poczynań, zyskują one aprobatę władz”.

I takie obserwacje nadchodzą z różnych stron, z różnych środowisk. Dorzucmy jeszcze jedną — z terenu województwa rzeszowskiego. Chodzi o Bieszczady, o Ustrzyki, do których odbył zimową porą podróz E. LASOTA, publicysta „TYGODNIKA KULTURALNEGO”. Oto ostatni akapit jego artykułu:

„Ustrzyki zainponowały mi ilością entuzjastów, ludzi porwałych się na rzeczy, których dokonanie można tylko wtedy, gdy się głęboko wierzy w siebie i innych. Inicjatywa wyzwoiliła się tu na wielu odcinkach. Trudno byłoby pokazać je wszystkie. Ale na przykład ta, która powstała wokół budowy obiektów sportowych, jak każde społeczne działanie stała się realna, konstruktywną siłą. Będzie ona działać i nadal”.

T. K.

Awans powiatów

Wojskowy czy urzędnik ma zaplanowane w czasie awanse. Według pragmatyki służbowej. Porucznik po czterech latach awansuje do stopnia kapitana, referent po kilku latach niagannej służby — na starszego referenta...

Podobnie jak z ludźmi rzecz ma się również z regionami. Jedne według pragmatyki — a to oznacza w odniesieniu do nich planu — stopniowo, zgodnie z zaplanowanymi liczbami, osiągną w takim terminie osiągnięty stan, natomiast wszystkie wypływające z doświadczeń odgórnych i oddolnych analiz wskaźników — wyprzedzają pragmatykę.

W wypadku województwa białostockiego będą do niego północne regiony, głównie powiaty: Elk, Olecko i Goldap oraz częściowo Grajewo.

Władze zwierzchnie Białostocznego podkreślają, że powiaty te nie stanowią żadnej lokalnej specyfiki, że wyodrębnianie ich jako pewnego subregionu nie jest zbyt słuszne, bo ma jakoby wskazywać na pewne procesy dezintegracyjne — a przecież na ist-

nienie takowych w województwie nie ma żadnych danych.

Cokolwiek by jednak na ten temat powiedziano — bez względu na osoby — trudno przejść do porządku nad faktem, że powiaty te zarówno w obręb województwa jak i kraju weszły dopiero dwadzieścia lat temu — w styczniu 1945 r. I to już zakładało inny ich start w organizmie społeczno-gospodarczym województwa.

W jednym tylko nie było dwadzieścia lat temu różnicy między regionami mazurskimi, a powiatami Białostocznymi — mianowicie w stopniu dewastacji i powojennego zniszczenia.

Najważniejsza sprawa — ludzie. Proszę mi pokazać takie miasta w Białostockiem, jak Goldap, gdzie liczbą mieszkańców — według danych z roku ubiegłego — przekroczyła 12-krotnie stan ludności z roku 1946; czy też Olecko (5-krotny wzrost), lub Elk (4-krotny). W latach 1948—1958 wskaźnik przyrostu naturalnego na tysiąc osób ludności w omawianych powiatach należał do najwyższych w kraju, a nawet i w Europie!

spożywczego i materiałów budowlanych.

W latach 1960—1963 przemysł powiatów mazurskich wykazywał — i tak jest dziś — znacznie szybszą dynamikę rozwoju niż tempo wzrostu przemysłu w województwie. Zjawisko to występuje szczególnie w powiecie elkim. Imponująca jest również dynamika rozwoju rolnictwa, która przyczyniła się do tego, że na przykład powiat olecki dosłownie ze stanu zerowego w 1945 r. — w 1964 r. stał się najbardziej tzw. „towarowym” (w zakresie rolnictwa) powiatem woj. białostockiego.

Najszybciej

Można by przytaczać wiele przykładów mówiących o wyprzedzeniu przez gospodarke trzech mazurskich powiatów białostockich założeń pragmatyki: najszybszego w województwie zmniejszania się liczby mieszkańców przypadających na jeden punkt sprzedaży, polepszenia się warunków mieszkaniowych i komunalnych, wzrostu sieci szkół podstawowych, ogólnokształcących, zawodowych, licznych ośrodków życia kulturalnego w mieście i na wsi.

Np. dzisiaj w woj. białostockim Elk obok Łomży jest miastem uczącej się w szkołach średnich młodzieży. W roku 1946 powstały: Liceum Ogólnokształcące i Technikum Rachunkowości Rolnej. W następnych latach: Liceum Pedagogiczne, Technikum Ekonomiczne i zasadnicze szkoły: handlowa i o-dzieżowa. Obecnie działa tutaj zespół szkół zawodowych CRS, a Liceum Pedagogiczne przekształcono w Studium Nauczycielskie. Potrzeby blisko 200 podstawowych szkół w trzech powiatach mazurskich w zakresie posiadania wykwalifikowanej kadry pedagogicznej nie są jeszcze całkowicie zaspokojone. W ciągu ostatnich kilku lat notuje się blisko dwukrotny wzrost potrzeb w tym względzie.

Od pierwszych dni niepodległości organizowane były w trzech powiatach wszystkie dostępne wówczas formy upowszechniania kultury. A przede wszystkim — świetlice, biblioteki i kina. Pieczołowicie pielęgnowano regionalne pierwiastki mazurskiej kultury. Wielu działaczy zajęło się badaniem przeszłości tych ziem, szuka pamiątek sztuki ludowej, szperając w materiałach archiwalnych, — chodzi o zabytki piśmiennictwa i folkloru mazurskiego. Z ich inicjatywy powstaje w Elku Regionalny Dom Kultury im. Michała Kajki, który w oko-

licach Elku się urodził i tutaj jest wychowany.

Dzięki rozbudowie sieci bibliotek i punktów bibliotecznych w miastach i na wsi książka stała się powszechnie dostępna. Pod koniec roku 1963 w rejonie trzech mazurskich powiatów Białostocznym działało 27 bibliotek i 250 punktów bibliotecznych — sieć najgęstsza w województwie. W tym samym czasie z blisko 200 tys. woluminów korzystało 21 tys. czytelników.

Upowszechnianiem procesów kultury zajmują się ponadto licznie działające zarówno w elkim, oleckim jak i goldapskim domy kultury, świetlice, kluby o łącznej liczbie 46.

To wszystko, o czym wspomnieliśmy, charakteryzuje nie tylko szybko, wszechstronny rozwój społeczno-gospodarczy tych powiatów i przyczyny tej dynamiki, ale i pozabawia rewizjonistów z NRF argumentacji, że nie byłimy zdolni zasiedlić, zagospodarować i zaktywizować kulturalnie naszych ziem północnych.

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

Mam dom

Mam dom
klatkę ceglana
wybita moją skórą
W szybach
pory roku
malowane na płócie
Wchodzą tu cienie
zbyt długie aby minąć okno
Od rana
zarabiam na cierpliwość oczu
mnożę sprawność rąk
osłaniam przystań
dla której wieczorem
proszkiem do mycia naczyń
czyszczę słońce
na dzień następny.

Drzewo rodzi się milczące
dopiero napotkawszy wiatr
mówi
Kiedy palce wiatru i drzewa
zwręzą się
zawęzła
nowy konar
albo pieśń powstaje.

Białystok

Młodość

Współcześnie wynika z tego jeszcze jeden specyficzny element, wyróżniający te powiaty w organizmie demograficznym województwa białostockiego; mianowicie — młodość północnej Białostoczniny. Pod koniec ubiegłego roku na około sto pięćnaście tysięcy ludności zamieszkującej trzy białostockie powiaty mazurskie — było ponad 55 tysięcy dzieci i młodzieży — urodzonych tutaj w okresie XX-lecia Polski Ludowej.

A więc masowa akcja osadnictwa, szybki przyrost naturalny, oraz pogłębiające się z każdym dniem procesy stabilizacji i integracji społecznej były w tym czasie głównymi elementami gwarantującymi zagospodarowanie i wszechstronny rozwój społeczno-gospodarczy mazurskich powiatów.

Wystarczył jeden rok polskiego gospodarowania na tych kompletnie zdewastowanych przez wojnę ziemiach, aby działało tutaj pod koniec 1946 r. 30 zakładów gospodarki uspołecznionej. Następne lata były okresem dalszej odbudowy ze zwróceniem szczególnej uwagi na rozwój przemysłowy:

Jutro na wycieczkę!



Fot. Jan Magierski

Listy do KAMENY

Jeszcze o „Cudzoziemcu w domu”

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie jestem pewna, czy mój głos w dyskusji toczącej się w „Kamieniu” będzie celowy, gdyż nie należę już do pokolenia „nastolatków”, ani nie znalazłam się jeszcze w rzędzie szacownych matron, co to „wszystko mają za złe”. Sama przed kilkunastu laty zdawałam się być skłóconą ze światem, jako że i wtedy nie był on wolny od konfliktów „stary — młodzi”. Historia wskazuje zresztą, że zawsze tak było, w każdej epoce. Ale i 39-latką zastanawia postawa, jaką przyjął „cudzoziemiec” wobec własnego domu. Na szczęście — wydaje mi się — nie jest to postawa typowa i „cudzoziemiec” musi pogodzić się z faktem, że nie może pretendować do roli reprezentanta swego pokolenia.

Z racji uprawianego zawodu mam szerokie możliwości obserwacji i kontaktów z młodzieżą w różnym wieku. Tylko nieliczni podobni są „cudzoziemcowi”. Ogromna większość czuje się związana z domem rodzinnym, choć niekiedy ukrywa wstydliwie swoje uczucia. Wiemy jednak, co kryje się w tym na pozór lekceważącym powiedzeniu — „mój stary...”

W szkole, w której pracuję, jest spora grupa uczniów — wychowanków Domu Dziecka. Oni, których los poznałam — niekiedy bardzo wcześnie — rodzinnego domu, umiemia cenić jego wartość, umiemia tęsknić, choć żaden z nich nie jest słowackim. I jeśli coś ich „rozkleja”, nastawia pesymistycznie do życia, robi niezdolnym do pracy” to na pewno nie wspomnienia o ciepłym domu rodzinnym, ale świadomość jego braku.

Nie wiem, jaki jest dom „cudzoziemca”. Może rodzice, zajęci swoimi sprawami, zbyt mało zajmowali się, lub nie umieli stworzyć tej specjalnej atmosfery, która, gdy nadejdzie czas próby, spełniałaby rolę magnesu. Dom musi mieć się przyczepiana, o ile nie chce zostać hotelem, w którym można zjeść i przespać się, będąc przejazdem, gdzie niekiedy nawet można spotkać znajomych, z którymi jednak poza konwencjonalnym „dzień dobry” — nic nas nie łączy.

Spotkałam się kiedyś z twierdzeniem młodej 18-letniej studentki, że nie czuje się związana z domem, gdyż z rodzicami nie ma o czym mówić, ponieważ dzieli ją z nimi zbyt duże różnice intelektualne. I jednocześnie znam człowieka 39-letniego, który i wówczas, gdy był studentem i dziś — będąc cenionym pracownikiem naukowym jednej z wyższych uczelni, z perspektywami tzw. „karierą naukowej” — część swoich wakacji poświęca na pomoc przy najbliższych pracach w kilkusetletnim gospodarstwie rodziców, a każda wolna chwila wykorzystuje na dyskusje z ojcem, człowiekiem o młodszej wiedzy, ale ogromnym doświadczeniu życiowym.

Tamta panna nie chce pamiętać, że swoją obecną pozycję zawdzięcza przede wszystkim owym „zafocanym” rodzicom.

Młodzi, lecz dojrzałi (przynajmniej z dyplomu maturalnego) ludzie nie mogą zapominać, że tolerancja obowiązuje tylko dla siebie. Rodzice również mają prawo żądać jej od dzieci dla swoich rodzicielskich „kanryśów”. Nawet ci „zafocani” i ci, którzy nie mogą pogodzić się z zanikiem uczuć i dehumanizacją „atomowego” wieku.

Łacze nozdrzowienia dla całego zespołu redakcyjnego, tudzież życzenia wielu osobom ciekawych i pożytecznych inicjatyw.

Czytelniczka z Jasła

BRATERSKIE POSŁANIE

Drogi bracie, kochany Zenobiuszu!

WALDEMAR BABINICZ

W pierwszych słowach mojego listu donoszę Ci, drogi bracie, że jestem zdrow i wesół i niczego mi nie brakuje, czego i Tobie, Zenek, z całego serca życzę. Zapytajcie Ciebie o zdrowie Mamy, Ojca, a także i Twoje i czy wszystko w domu po staremu, to jest z gadziną, inwentarzem i zasiewem. Ciekawi mnie też, ile zebraliście z nadzielenego pola! Po mojemu powinno być jedenaście chawiorów, a może i więcej.

Zdziwi Cię, drogi bracie, że od listu tego jedzie karbolem i innym smrodem. Może sobie nawet pomyśli, że brat Twój zamiast szczerze i uczciwie bronić władzy ludowej, przystał do lapiduchów i dekuje się po szpitalach czy innych izbach chorych? Kiepskie masz wyobrażenie o swoim bracie, Zenek. Mówię Ci to otwarcie. Albowiem, owszem w szpitalu jestem, ale nie jako żaden sanitet, tylko ranny, a rano swoją, ciężką, zdobyłem w krwawym boju z rodzimą reakcją, czyli też bandami NSZ, która, jak szkała wyje po lasach i napada na przedstawicieli naszej kochanej władzy ludowej i bez żadnych wyrzutów sumienia w biały dzień morduje naszych aktywistów, milicjantów i ich rodziny.

Proszę Cię, drogi bracie, nie wykrzywiaj w tym miejscu gęby i nie podśmiechuj się. Jestem teraz starym żołnierzem, zahartowanym w bojach i za nic nie ręczę. A Twoje różne kpinki i śmiechy-chichoty już czas, żeby się skończyły, albowiem, drogi bracie, kto nie z nami, ten przeciwko nam. A także samo, kiedy brat Twój rodzony, gęsto krwią zbroczony, postrzelony przez podłego faszystę, wyniesiony z pola bitwy, znalazł się nie ze swojej woli w szpitalu cywilnym, jako że polowych w tych niby pokojowych czasach nie posiadamy, powinienes, drogi bracie, stanąć u jego wezgiłowia i także samo zemście przysiąc, czyli wkroczyć na jego, brata Twego, drogę i nie zwlekając zameldować się w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa, albo też i w najbliższym posterunku MO, która także jest ramieniem naszej władzy i z honorem można w niej służyć lub leć.

Ciekawi Cię, drogi bracie, w jaki sposób znalazłem się w kieleckim szpitalu wojewódzkim, gdzie siostry zakonne stale i wciąż trzeszczą się o moją duszę i zbawienie wieczne? Opowiem od początku.

Jak Ci wiadomo, na drugi dzień po siedmiu męczennikach, czyli zaraz po reformie, kiedy w z tatem i całą rodziną bimbrem zalewaliście nasze wielkie święte chłopstwa pracującego i bezrolnego proletariatu, ja jeden postanowiłem odwdziżyć się naszej kochanej młodzieżkiej władzy ludowej i udałem się do powiatu pieszo, aby wstąpić w szeregi naszego ludowego wojska bądź wprost do bezpieczeństwa. I tak się stało, drogi bracie. Tylko, że na początku spotkało mnie małe niepowodzenie. Oficer, do którego się zgłosiłem o czwartę po południu, był trochę pod muchą i można powiedzieć, przyjął mnie nie bardzo kulturalnie, czyli nawymyślał od chuliganów, którzy pchają się do UB, żeby jeździć na szaber, na co ja hardo oświadczyłem, że w naszej wsi takich drani nie było i nie będzie i inne rzeczy też mi powiedziałem w tym guście. Ale on nie zważając na moje gorzkie izy i nieprzepartą chęć ścigania rodzimej reakcji i niedobitków, po prostu ordynarnie wyrzucił mnie za drzwi.

Odszedłem, bracie, bo i co innego miałem zrobić? Przespaliśmy się u dobrych ludzi, a rano zameldowałem się znowu u drugiego oficera, który przyjął mnie z otwartymi rękami, jak brat brata i zaraz przydzielił do kompanii szturmowej.

Bardzo świetna była służba w tej mojej kompanii szturmowej, wszystkie mieliśmy w bród, tylko brakowało chleba i odcienia, a także samo butów. A karabin dostałem taki, że koledzy moi tylko kpinki z tej broni robili, ale ja z zaciśniętymi zębami służyłem uczciwie i chodzącem na ćwiczenia i strzelaniem na razie do celu czyli do martwej i żywej przyrody.

Drogi bracišku, nacierpiałem się w ten czas, że i opisać trudno. A największe dokuczali śledzie. Jak wiesz, kochany Zenku, zawsze byłem na śledzie amator, tylko że nieczęsto nas nimi karmiła mama nasza kochana. A tu na odwrot: na śniadanie śledź, na obiad śledź, na kolację także samo śledź. I tak bez trzy tygodnie, a chleba prawie nie dawano i o ziemniakach ani słychu. Śmierdziało od nas tych śledziami

od środka i od wierzchu na dwa kilometry, a poniekąd i rzygał śledziami, że żal było patrzeć. Ale nie. Przetrzymaliśmy bracišku, bo skąd nasza młoda, ukochana władza ludowa miała wziąć kielbasę lub salceson, jeżeli podły faszysta, czyli hitlerowcy, ogolili naszą polską wieś, a niedobitki reakcyjne lupią ją i palą, a Ty, drogi bracie, i inne elementy, siedzicie sobie spokojnie i ani Wam w głowie, że nasza władza nie ma czym karmić swoich ludowych bohaterów i zwyczajnych szeregowych milicjantów.

I jeszcze powiem otwarcie, że kiedy Ty, ukochany bracišku, z trudem stękając i jęcząc wkładasz wygłansowane oficery, aby w nich udać się do kościoła, a może ze swoimi kompaniami i na co gorszego, jak na ten przykład do sąsiedniej wsi Borki Szlacheckie, gdzie nurzacie się w rozpuście i bimbrze, ile dusza zapagnie, to twój drogi braci-

szko bardzo wielką ochotę stoczyć z nią bój ostateczny, żeby wszystko zgadzało się z naszą ukochaną Międzynarodówką i czuliśmy, jak stojąc objęci w pół, aby nie wypaść z ciężarówki, że związek nasz bratni ogarnia cały lud. Cóż, kiedy kochany bracie, dranie szoferzy po kilkunastu kilometrach szalonej jazdy nawallili i zaczęli gmerać w swoich motorach. I tu, żeby prawdę powiedzieć, zwątpiłem ja po raz pierwszy w polityczne wychowanie tej nacji, szoferów naszych. My z niecierpliwością i z żądzy sprawiedliwej zemsty nogami przebieramy, nikt ani nie spojrz na piękną naturę, a przecież, bracie drogi, wszystko dookoła młode chłopcy, krew z mlekiem, a tu maj, żeby reboczą, skowronki i inne ptactwo podawstują, wiesz zresztą sam, jak tu u nas w maju i chociaż ziemia tu w kieleckim licha, gołym okiem można ocenić, że piątej klasy, ale lasy piękne, a oni,



Rys. Krzysztof Kurzątkowski

szek, niżej podpisany Witek Bryn, po bohatersku walczy z wrogiem wewnętrznym, co publicznie stwierdził nasz dowódca kapitan, pseudonim „Przełot”, stoję w szeregu boso, bez żadnego obuwia i łyż gorzkie z oczu moich płyną, kiedy innych kolegów przydzielają na bojowe wyprawy, a mnie nie, bo jakże, przynaj, drogi bracie, wyglądałoby gdyby rodzima reakcja spostrzegła, że zwalcza ją ludowy żołnierz bez butów. Na szczęście, jeden mój kolega zachował po śledziach, że nie tylko nogami, ale i rękami ruszać nie mógł, więc mi pożyczył swoich butów i w nich mogłem już przez żadnej przeszkody bić drani i strzelać do prawdziwego, żywego celu.

Pewnie jesteś ciekawy, Zenek, czy stałem kiedyś w warcie, albowiem nieraz sobie leżąc w stodole o takim czymś rozmawialiśmy? Stałem, kiepsko, trzeba przyznać, uzbrojony, ale ta warta na dobre mi nie wyszła, bo przyleciał Józef Gagalów i wprost z daleka krzyczy: „Ech ty, Witek, gamoniu zatrącony itd., stoisz na tej warcie, jak nie przymierzając drużba na weselu, a tam w kompanii mundury fasują”. I jeszcze inne rzeczy wygadawał, że nie mogłem ścierpieć i jak stałem polecałem do magazynu. Mundur dostałem, ale bokiem mi on wywał, chociaż był za szeroki. Bo dowódca odkrył, że opuściłem wartę i tylko w drodze łaski skazany zostałem na tydzień aresztu, którego, chwala Bogu, nie odsiedziałem, bo rodzima reakcja zamordowała naszego kochanego sekretarza PPR i przysięgaliśmy jej zemstę. Zaraz tego samego dnia udaliśmy się w pościg i tak jakoś upiekło mi się z tym aresztem. Nie śledziatem i siedzieć nigdy nie będę bo co by to ze mnie był za bohaterski obrońca władzy ludowej? Bez czci i honoru.

Pomknęliśmy na skrzydłach, aby zapłacić za śmierć sekretarza i niewinność wdowy i małych sierotek.

Jechaliśmy z nadmierną szybkością, że tylko wiatr gwizdał nam w uszach. Śpiewaliśmy pieśni bojowe i kto, jakie umiał, i każdy jeden sokolim okiem wypatrywał śladów bandy, bo mieliśmy

szoferzy nie sobie z nikogo i z niczego nie robia grube pośladyki nachalnie na nas wywalił i swoim szoferkim językiem słówka takie zapuszczają, że prosty człowiek tylko zębami grzyzia.

Teleskopy — powiadają — wyśiadły i nie na to nie poradzimy. — Zwyczajna rzecz — myślę — piaskiem w oczy ludziom sypia, bo oglądaliśmy z Tobą panoramę historycznego miasta Krakowa przez teleskop, i smiem wątpić, żeby taka machina na trzech nogach mogła się zmieścić pod maską samochodu, chociaż on i z granicznej marki i niemających rozmiarów. W ten sposób doszło między nami, to jest między szturmowcami, a szoferami do wymiany zdań na tematy ideologiczne i płciowe. Skończyło się na tym, że nas jeszcze podwieźli ze dwadzieścia kilometrów i stanęli na amen. — Dalej — mówią — nie pojedziemy, wszystkie w naszych motorach się ruha, o nieszczęście niestrudno, a potem wszystko spadnie na nas. Idźcie — mówią — szturmowcy, pieszo. Zdążyćcie ziemię faszystowskiemu padem nakarmić. Cóż? Posłaliśmy. Szturmowca nigdy się nie cofa. I przed niczym.

Maszerowaliśmy łąkami i polnymi ścieżkami i każdego spotkanego osobnika zatrzymywaliśmy bez pardonu. Bywało, że zatrzymywano poświadczał czynem swoją niewinność, czyli stwierdzaliśmy, że wyskoczył za swoją potrzeba, wtedy odprawialiśmy go spokojnie, mówiąc, że nie masz potrzeby pstrać się przed nami szturmowcami, a tylko kryj się przed bandami faszystowskimi, które cyhają na twoją zgnbę. Napotkaliśmy i pleć odmienna. Dwie panienki. Rysopis: blondyna, dość gruba, jak na mój gust zanadto już pierziasta i druga czarna z noskiem zadartym, wesola, szcuppła w sam raz, ale u nas, bracie kochany, dyscyplina ludowa i żadnych tam macedońskich wygibasów, ani, ani, więc surowo porozmawialiśmy z panienkami, skąd i dokąd i dlaczego nie pod onęka, a same się szwadziła w sytuacji, która, każdy cywil, bez różnicy międzyżoną czy kobieta, przynaj, że jest niebezpieczna i wyjątkowa. Na to one w placz, więc poniekąd zaczął

je pocieszać ale zjawił się szef i przekażal obie dowództwu do rozpatrzenia.

Co dalej było, nie umiem Ci, bracie, powiedzieć. A więcej przygód nie miałem, chyba jeszcze te, że jednego z naszych tak sparło z tych śledzi, że dostał biegunki i do możebności zapaska, dził lono natury, a smród był taki, że my, szturmowcy, z zatkanyimi nosami biegliśmy pięćset metrów, a ptaćwokoło rozpięchło się i kwiliło łosnie.

Z drugiej zaś strony przykro nam było i żal patrzeć na drogiego towarzysza broni, który zamiast pepeszy, portki trzymał w garści, ale nie odstawał i nie podawał się za chorego, tylko dzielnie i odważnie parł naprzód i w miarę jak się posuwał, z coraz większą wprawą wydawał z siebie odstrasające dźwięki i huczące odgłosy, co mogło sprowadzić nam na kark nieprzyjaciela, ale, niestety, nieprzyjaciel w tej chwili był oddalony o ładnych kilkanaście kilometrów, albo i więcej.

Po krótkim odpoczynku w lesie dowództwo nasze wytypowało dwóch żołnierzy do zwiadu. Jeden żołnierz, nazwisko Banach, zameldował, że pochodzi z tych stron i w ten sposób banda może się pomóc za jego odwagę na rodzinie, czyli ojcu, matce i innych potomkach. Dowództwo uwzględniło sytuację kolegi, z czego, drogi bracie, skorzstałem i zgłosiłem się dobrowolnie do zwiadu, nie myśląc o żadnych zemstach, ale o tym, żeby czym prędzej okazać swój niezachwany patriotyzm.

Zwiad nasz w składzie jeden oficer i czterech żołnierzy udał się natychmiast we wskazanym przez dowództwo kierunku. I cóż się okazało? Wkrótce przed naszymi oczami zajaśniały wielkie jezory płomienia i kłęby dymu utrudniały nam oddech. To banda oprychów podpaliła wieś. Za wszelką cenę musieliśmy się dowiedzieć, jak się rzeczona wieś nazywa. A tu żywej duszy. Wtem spostrzegamy postać mocno podejrzaną. Po prostu z daleka bije z niej niepewność i żeby prawdę powiedzieć, szpiegostwo. Bo tu słoneczko świeci, majowe powietrze rozdziera człowieka, a rzeczona postać zakuta na pro szyje i w dodatku na nasz widok daje nogę. Więc my niewiele myśląc okrzyknęliśmy surowo „stój, stój”. I daliśmy na postrach strzał ostrzegawczy. I cóż się okazało?

Nie dawaj nigdy, drogi bracie pozorom. Sam Marks i Engels przed takowymi ostrzegali klasę robotniczą i pracujące chłopstwo. Ledwieśmy z tą postacją zamienili dwa zdania, ledwie jeden ze zwiadowców zdążył jej się wyłuszczyć na temat płci, aż tu nasz oficer z nieposkromioną ciekawością pcha jej rękę pod spódnice i cóż się w tym miejscu, drogi bracie Zenku, okazuje? Postać nie była żadną panną, czyli też kobietą, ale bezczelnym, pleć swoją bezwstydnie ukrywającym mężczyzną. Wzieliśmy go natychmiast w krzyżowy ogień, a koleżka mój Kazimierz Wrotniak, nie zważał się dla dobra sprawy wprost mu oświadczyć, że jest knurem bez żadnego honoru, który za pieniądze wysługuje się nie dobitkom. I odesłaliśmy go, osobnik znaczący, do dowództwa dla dalszego załatwienia.

I w tej właśnie chwili wysuwa się w naszym kierunku anioł nie anioł, kropła w kropkę podobna do św. Tereski, dziewczina po prostu z obrażka zdęta, tak, że mój towarzysz broni i kolega najlepszy, nazwisko Łoduch Franek, nie zważając na przepisy i regulamin zdjął czapkę i najspokojniej zaczął litanie odmawiać. Ale my, pozostała część zwiadu, niewzruszeni jego religijną demonstracją, ostro podchodzimy do św. Tereski i zadajemy świeckie czyli urzędowe pytania. Niestety, nie była to żadna Tereska, ale Melania Gzyl z wioski nieopodal leżącej. Rozczulony takim obrotem rzeczy koleżka mój, Kazimierz Łoduch, wdział z powrotem czapkę, kłitwie począł do onej dziewczicy przemawiać w rodzaju katekizmu, kotku, kiziu, i inne nieszczerliwie wyrazy. Znasz go, bracie kochany i sam wiesz, jaki on na pleć łapczywy i słówek, na które lasa jest każda dziewczynka, ma na podórzedzi cały arsenał, więcej niż szturmowy magazyn butów i sortów mundurowych. A na to dziewczeczka najspokojniej daje, że co do kizi to się nie zgadza, ale na konto kotki, że owszem. Bardzo tym zdziwiliśmy się, ale wkrótce wyszło na jaw, że wieś spalona przez bandę niedobitków po prostu nazywa się Kotki.

(Dokończenie w następnym numerze)

Przedawnienie

Jakże może przedawnić się we [mnie]
 ta kopalnia z drewnianymi [podporami,
 które sam strugałem na śniegu
 obierając je z kory rękami
 zgrabiałymi od wichru i mrozu
 w rękawicach na ironię z płótna?

Jakże mogą przedawnić się we [mnie]
 te podróże winda z kiblami
 pełnymi lajnia,
 nocami,
 z zlewianymi w dół kloaczonymi [wiadrami,
 które nieś mi dłoń kazala [okrutna?

Jakże mogą przedawnić się we [mnie]
 te rozkazy vorwärts! i zurück!
 te rozkazy unten! i raus!
 i te supy z brukiwi na wodzie,
 i te słupki barak i krzyk
 zapłuskwiony barak i krzyk
 i te lochy kopalnianych ciemnie?

Jakże mogą przedawnić się we [mnie]
 te rozkazy vorwärts! i zurück!
 te rozkazy unten! i raus!
 i te supy z brukiwi na wodzie,
 i te słupki barak i krzyk
 zapłuskwiony barak i krzyk
 i te lochy kopalnianych ciemnie?

Jakże mogą przedawnić się we [mnie]
 te rozkazy vorwärts! i zurück!
 te rozkazy unten! i raus!
 i te supy z brukiwi na wodzie,
 i te słupki barak i krzyk
 zapłuskwiony barak i krzyk
 i te lochy kopalnianych ciemnie?

Jakże mogą mi przedawnić się [te chwile?
 Aufschera mego lodem skutka [twarz...

Na poziomie 306 złych godzin tyle...
 Ramny marsz na Obergrube? Kiszek [marsz?
 I Herr Schwartze! i Herr Lübecke!
 [I Herr Thiele!

Wózki z rudą. Zdaje mi się, że je [dzisiaj] jeszcze wożę.

To przedawnić ma się?
 Nie, ja to pamiętam!
 We mnie nigdy to przedawnić [się nie może.

To nie jest takie proste...

I DAC za tokiem rozumowania Andrzeja Hausbrandta, autora artykułu „Codziennie premiera”, opublikowanego przez „Politykę” w roku 1964, Halina Chabros, w wypowiedzi dyskusyjnej na łamach „Kamień” pt. „Teatrowi może pomóc tylko teatr”, sugeruje, że przyczyn impasu w teatrze i dróg wyjścia z niego trzeba szukać przede wszystkim w nim samym. Z tym punktem wyjścia trzeba chyba zgodzić się bez zastrzeżeń.

Autorka, zastanawiając się nad konkretną sytuacją lubelskiej sceny dramatycznej, widzi jej „grzechy główne” zwłaszcza w „potknięciach repertuarowych, braku konsekwencji, systematycznym niewykonywaniu zapowiadanych na początku planów repertuarowych, a także potknięciach inscenizacyjnych. Zwraca też uwagę, że mankamenty te, jakkolwiek występują w skali ogólnopolskiej, w Lublinie mają swoją wyraźną specyfikę.

Szczegółowa analiza repertuaru Teatru im. J. Osterwy za okres ostatnich 2 lat upoważnia autorkę do ostrej krytyki sceny głównej, jak też podobno jednak istniejącej „Reduty 61” (wiersze Autorce na słowo) i jeszcze trudniejszego do odkrycia „teatru przy stolikach”.

Zgadza się z Autorką, że nasza scena w ostatnim okresie wyraźnie obniżyła loty, uważam jednak, że — po pierwsze — trzeba, nie rezygnując z negowania tego, co istotnie jest złe, większy nacisk w dyskusji położyć na konkretne propozycje i postulaty pod adresem samego teatru i kompetentnych czynników, tj. Wydziału Propagandy KW PZPR i Wydziału Kultury PWRN. Po drugie — wydaje się, że źródła złych należałoby szukać jeszcze głębiej, dościsnąć nie tylko do wytknięcia pozycji chybionych w repertuarze, ale wskazać, dlaczego tak się dzieje i jak temu na przyszłość zaradzić.

Jest rzeczą charakterystyczną (czyżby to był zwykły przypadek?), że zainicjowana obecnie dyskusja ma miejsce akurat w 10 rocznicę podobny wyminy poglądów na temat lubelskiej sceny, tyle, że zainicjowanej w roku 1955 przez redakcję „Sztandaru Ludu”. Skłoniło mnie to do przewertowania kompletu materiałów dyskusyjnych i muszę przyznać, że lektura ta przestraszyła mnie przed zupełnie nieświadomym popelnieniem autoplagiatu, bowiem odkrywamy swój artykuł pt. „My widzowie — jesteśmy z wa-

mi” („Sztandar Ludu” 1955, nr 28), nie bez zdziwienia stwierdziłem, że obecnie przygotowany głos był bliźniaczko podobny do wypowiedzi sprzed 10 lat. Co więcej — wszystkie podstawowe zarzuty wytknięte w dyskusji pozostały bez zmian.

Wniosek z tego jest chyba bardzo prosty: błąd i potknięcia lubelskiej sceny znamy od dawna, potrafiliśmy

Dyskusja o teatrze

nazwać je po imieniu, dając dowód powszechnej troski o poziom jedynego tej rangi teatru na terenie województwa. Niestety, po rozpoznaniu właściwej choroby, albo nie potrafiliśmy podać choremu odpowiednich lekarstw, albo też — jak to często bywa — chory nie chciał zastosować się do recept. A może jedno i drugie. Spróbujmy zatem nieco bliżej przyrzeć się, jakie to były rady i czy warto do nich wrócić.

We wspomnianym już swoim artykule pisałem m. in.:

„Chcemy... by teatr był naszym teatrem. Chcemy być jego współgospodarzami. Sprawa repertuaru nie jest prywatną sprawą kierownictwa teatru czy zespołu aktorskiego. I chyba nie od rzeczy będzie propozycja, by teatr organizował w każdym sezonie przynajmniej jedną otwartą dyskusję nad planami repertuarowymi, na temat których mogłyby się wypowiedzieć zarówno działacze kulturalni, jak i „szary” widz. Dyskusję tę można by było poprzedzić ankietą w prasie na temat: co chcielibyśmy zobaczyć na scenie w nowym sezonie. Publiczna ocena repertuaru pozwoli uniknąć wielu nieporozumień, pozwoli kierownictwu teatru poznać potrzeby i życzenia społeczeństwa i w miarę możliwości realizować je.”

Co tu można jeszcze po 10 latach dodać? Chyba to tylko, że bardziej zdecydowanie należy wymagać od teatru, by jak najszybciej doprowadził do realizacji tego wniosku. Gdyby „Kamena”,

„Sztandar Ludu” i „Kurier Lubelski”, nie odkładając tego na później, już teraz zorganizowały ankietę dla czytelników, w dalszym terminie, po opracowaniu materiału nadesłanego do redakcji, trzeba byłoby — po uzgodnieniu z kierownictwem konkretnych propozycji repertuaru na najbliższy nowy sezon — ponownie poddać go publicznej ocenie i dopiero wówczas ostatecznie zdecydować o nim.

W tym miejscu trudno nie wspomnieć o Radzie Artystycznej przy Teatrze im. J. Osterwy. Nie wiem, czy w ogóle istnieje, nie wiem, kto wchodzi w jej skład, jakie ma kompetencje... Jedno nie ulega wątpliwości: trzeba bezwarunkowo podnieść jej autorytet. Jeśli, oczywiście, istnieje taka sytuacja — dokonać zmian personalnych, zmocnić o ludzi, których autorytet będzie — gdyby zaistniała potrzeba — przeciwwagą stanowiska dyrektora. Nie kto inny, tylko Rada powinna przygotować wstępną wersję planu i przedłożyć ją społeczeństwu do oceny. Bez radykalnego rozwiązania tego problemu będziemy mogli za następne 10 lat rozpoczynać nową dyskusję z tego samego punktu wyjścia.

Z innych spraw chciałbym tylko zaznaczyć, że istotny problem kadr. W grze w bilard”, opublikowanej w 1961 roku na łamach „Polityki”, Jerzy S. Sito tak pisze na zakończenie swych uwag:

„...Chciałbym zwrócić uwagę na duc aktorów, którzy, obawiam się, niedługo zabawią na lubelskiej scenie. Do smutnych zjawisk naszego życia teatralnego należy bowiem proces, który nazwałbym „centralizacją talentów”, zarówno Jan Machulski w roli Długiego, jak i Witold Lisowski w kolejnych rolach Cukiernika, Pseudo-Popa, Polejanta i Ministra zaprezentowali warsztat aktorski, stanowiący nie lada pokusę dla teatrów stolicy.”

Gdyby tylko ci dwaj... Aż przykro pomyśleć, ile głosnych dziś w kraju nazwisk, tu w Lublinie, stawiało pierwsze kroki, rozwijało się dzięki odpowiednim warunkom, by teraz występować w większych miastach, w filmie, telewizji... I dlatego trudno nie zadać sobie pytania: czy zrobiono w każdym indywidualnym przypadku wszystko by niewątpliwie wybitną jednostkę zatrzymać, dać jej szanse grania odpowiednich ról, zapewnić właściwe warunki lokalowe i materialne (oczy-

(Dokończenie na str. 11)

ANNA KAMIENSKA

W PIERWSZYCH słowach mojego listu donoszę, że w roku dwudziestolecia Polski Ludowej została zapoczątkowana seria płyt z głosami poetów współczesnych. Wprawdzie już dawniej ukazały się płyty z głosem K. I. Gałczyńskiego, W. Broniewskiego i A. Słonimskiego, lecz dopiero obecna edycja ma charakter zaplanowany i seryjny. Polskie Nagrania uległy tu staraniom warszawskiego Klubu Poetów. Jest tych nowych płyt na razie sześć. Można na nich usłyszeć wiersze Jarosława Iwaskiewicza, Juliana Przybosa, Stanisława J. Leca, Tadeusza Różewicza, Tadeusza Nowaka i niżej podpisanej — w interpretacji samych autorów.

Jest to, jak na nasze stosunki literackie, duże wydarzenie, toteż z pewnością nie, albo niewiele będzie się o nim pisać. Mało kto nawet będzie się, że seria taka wyszła, że kupując płyty można zaprosić do swego domu, do klasy szkolnej, do świetlicy — żywego poete czytającego własne wiersze. Podobne płyty wydawane są w Związku Radzieckim i Czechosłowacji, często jako dodatek do tomu wierszy.

Prostota, kameralna interpretacja autorów ułatwia owocowanie z daną poezją, ułatwia też rozumienie wierszy i przyczynić się może do zlikwidowania niejednego mitu o niezrozumiałym współczesnej poezji. Z pewnością powinno już dziś być wstydem przyznawanie się do nierozumienia Przybosa lub Różewicza. Tak dalece poezja jednego jak i drugiego poety została zaprobowana społecznie i po prostu sprawdzona.

Przeletny czytelnik poezji śledząc wiersze w czasopiśmie literackich lub poszukując nowości, rzadziej sięga po dawne tomy znanych poetów. Pełz odkryć umożliwia taka głębsza pamięć czytelnika. Pełz można np. we wczesnych tomach Przybosa. Nagrane przez poetów wiersze przesłania pokazuje także pewien przekrój ich poezji.

Co za rozkosz słuchać łagodnej liryki Iwaskiewicza i obserwować, jak od melodyjnych klasycystycznych liryków dochodzi poeta do trudniejszej prostot-

ty, do szorstkich konstatacji lirycznych, do dzielnego — powiedziałabym — do wciwpu w wierszach mówiących tak przejmująco o przemianiam. Płyta Iwaskiewicza pokazuje, oczywiście niezwykle skrótno, całą jego drogę poetycką. W tym jej dodatkowa wartość.

Szczególnie wstrząsająco brzmią znów przedwojenne i wojenne wiersze Przybosa. To najlepszy Przybós — z tomu „Równania serca”, w którym objawiło się wizerowanie przewidujące już groźbę przyszłej wojny oraz z tomu

Placytka poetów

„Póki my żyjemy”. Poeta eksplozji i gwałtownych wybuchów słownych, bo tak rozumie on poezję, uzyskuje w tematyce wojennej odpowiednik swojej koncepcji poetyckiej. U Przybosa nawet słońce poranne wysadza z mroku izbę jak wybuch pocisku.

Stanisław Jerzy Lec prezentuje się swoim głosem jako liryk. Liryka Leca jest u nas niedoceniona. Słynne „Myśli nieuczestne” przedłożył jego „poezję o wielkich ambicjach filozoficznych i poznawczych. Oczywiście „Myśli nieuczestne” są również nowoczesnymi załączkami poetyki, ale ich kondensacja przetrwała w stronie tradycyjnego aforyzmu. Liryka Leca jest prząsłona dwojelnym, antypatetycznym, na każdym kroku rozbijającym własny liryzm i dym kłopotliwym i nowatorskim wierszem, poezja co chwila przewyższała się wymowie „” odbija się cały wdzięk postaci tego poety, bez którego warszawskie kawiarnie nie byłyby sobą.

Jakże okrutnie niszczy siebie w czytaniu Tadeusz Różewicz! Tak samo

okrutnie, jak niszczy w swojej poezji każde zbyt łatwe, zbyt narzucające się „piękno”. Nic ładniutkiego, nic „na wiarę”. Gdy poeta mówi, że stary człowiek zrywa jabłko, to znaczy tylko tyle, że stary człowiek zrywa jabłko. Człowiek. Jabłko. Zrywa. Nic więcej. To, co nazywamy prozaizmem Różewicza, słychać i w jego głosie, w jego interpretacji, unikającej wszelkich e-

fektów i emocjonalności. Poeta czyta swoje wiersze surowo, jakby prymitywnie, jakby z chłopstwa, tym samym tonem, jakim rozmawia „na co dzień”. Jest w tym wstrząsająco uczciwy i konsekwentny, a jednocześnie dla siebie samego — okrutny. Dobry recytator i wrażliwy czytelnik wyczuje w wierszach Różewicza więcej niż on sam przekazuje swoim głosem. Tak jakby jego poezja była lepsza, mocniejsza od zamierzonej. Są w niej ukryte głęboko melodyczno-rytmiczne wartości, zadyszenie uczuć, negowane przez samego poetę piękno słowa. Np. wiersz „Róża”, dawny wiersz rozpoczynający recytację na płycie, jest rzadkim wierszem, w którym to zbanalizowane słowo — imię odzyskuje całe swoje piękno i świeżość.

Znalazło się też wśród nagród nazwisko młodszego poety Tadeusza Nowaka. Ale nola z epitetem „młody poeta”! Wydawnictwo pomieszcza na obwołanych płytach treściwe i przeważnie wnikiwe noty podające też daty urodzenia poetów. Nowak jest poe-

Listy o poezji

ta dojrzałym nie tylko w swoim. Jest to poeta z bogatym dorobkiem wielu tomów wierszy i prozy oraz dorobkiem własnego stylu — własnej indywidualności. Nie jest to poeta łatwy, przede wszystkim dla siebie samego. Jego poezja przechodzi zstana-wiające ewolucje od jesieninowskiego imażynizmu do „chłopskiego surrealizmu” i stylizacji w stylu baroku. Takim właśnie pięknym wierszem barokowym „List do królowej” kończy Nowak swoją recytację. Jakież to kunstowny wiersz! Jeden rym przebiega przez ten jak gładki krogulec. Mnóstwo się w naszej poezji, i pastiche, i stylizacje, ale jakże często są one sztuczne i martwe. Zaś wiersz Nowaka skrzy się, gra, niepokoi i bawi, przypominając, że poezja była także piękną zabawą.

Wysłuchałam też na płycie siebie, dzwając się, kto to też mówi te znane mi jakby skądś słowa. Powiedziano mi, że to ja mówię wiersze przez siebie kiedyś napisane. Doprawdy mnie to zdziwiło.

W każdym razie wysłuchałam wszystkiego do końca.

Napisałam w tym liście te przydługą recenzje z wydanych płyt poetyckich nie tylko po to, aby poinformować o ich istnieniu. Wydałam mi się, że jest coś takiego, jak „polska szkoła mówienia wierszy”, choć może się to komuś wydać zabawne. Wystarczy posłuchać recytacji poetów rosyjskich i porównać z polskimi. Jest to, oczywiście, także różnica poetyki, ale i koncepcji poezji. Poeci rosyjscy nastawieni są bardziej na słuchacza i to słuchacza w sali meetingowej. Mówić lub nawet śpiewać własne wiersze — to należy tam do zawodu poety.

My jesteśmy bardziej do wnętrza, bardziej skromni, intymni, z ucha do ucha. Tak zresztą czytał wiersze nawet Broniewski; choć on miałby prawo krzyczeć swoje wiersze do tłumu. On także czytał je lirycznie i bardzo ciepło, jakby mówiąc do każdego z osobna, każdemu z osobna słuchaczowi patrzeć w oczy.

Wiele można się dowiedzieć o poetach z ich głosu, z ich intonacji, z ich oddechu, który słychać czasem poprzez nie ustawiony zawodowo głos. Spróbujcie posłuchać.

Ballada przedmieścia

Pocztówka, zgodnie z wymogami ówczesnej mody, podzielną jest na kilka małych pól; obok pałacu Jędrzejewicza ujętego w całej architektonicznej krasie, widać dokładnie i wyraźnie członków zespołu. Na dole widnieje napis: Teatr Włociański ze Staromieścia (dzisiaj już część Rzeszowa).

— Z którego roku jest ta pocztówka — pytam Jana Robaka.

— Na odwołanie wydrukowano: „Odkrytka pocztowa 1910 r. Nakładem Kółka Rolniczego w Staromieściu... Ale ruch amatorski rozpoczął się u nas w latach w roku 1904, gdy powstało kółko rolnicze, gdy Ochotnicza Straż Pożarna zaczęła występować z żywymi obrazami, deklamacjami, gdy rozpoczęto grzać w przygodnych stołach „Wóz Drzymaty” i inne sztuki...

Rodzina Robaków osiadła tu około 1860 r., gdy ojciec Jana pracował przy budowie kolei Rzeszów — Tarnopol.

Pozostało po nim siedmioro dzieci; wszystkie z zamiłowaniem do muzykowania. W pamiętniku Jana Robaka, pisanym stylem prostym, prozą niewymyślną, jest taki fragment opisujący perypetie z wczesnych lat chłopięcych. Już wówczas przepadał on za muzyką i jako uczeń III klasy własnoręcznie sporządził z deski skrzypce, złożył struny z drucików oraz nici, „wygrawując” łatwą melodię. Wzruszony ojciec kupił mu wówczas prawdziwe skrzypce. Muzyka widać tak uwiodła chłopca, że nauka w szkole całkowicie poszła w zapomnienie. Szczęście trwało tylko do najbliższej wywiadówki, gdy poinformowany przez nauczyciela tata odebrał wymarzony instrument i nie zwrócił go aż do ukończenia szkoły podstawowej...

Rozśpiewana rodzina

Śpiewać, grać dla własnej przyjemności i rozrywki, organizować chór, występować w orkiestrze, weselestronie działać wokół pięciolini lubi całe rodzeństwo Robaków, choć czas nie szczędzi nikogo i Jan, który z taką szczerością pokazuje mi swój pamiętnik dotyczący chłopięcych lat, daleko już dzisiaj przekroczył sześćdziesiątkę. Siostra — również zamieszkała na Staromieściu — Stanisława Chaderowa, znana jest ze swych pełnych temperamentu, ludowych przyspiewek. Jeszcze minionego lata mogłam ją podziwiać, gdy zespół z Rzeszowa dał występ dla uczestników kolonii polonijnej z Francji. A Stefan Robak, wiodłoncelista w zespole Rachonia, niedawno wyjechał na występy do Anglii. Mieczysław Robak, przebywający w podrzeszowskiej wsi Przybyszówka, też grywa w orkiestrze...

Takich rodzin, rozmówionych w muzyce, w pieśni, dobrze rozumiejących potrzebę życia kulturalnego, ma Staromieście więcej. Do wieloletniej tradycji przyczynili się rolnicy Walenty Wietchy, Stanisław Wierzecholek, „akademicy” — jak określano ich wówczas

— Józef Bereś, Wincenty Brudek, Józef Kret, kierownik szkoły — Karol Merklinger. Obok licznej rzeszy kojarzy zatrudnionych w pobliskiej parowozowni niemają udział w życiu kulturalnym Staromieścia wnieśli pracownicy Zakładów Mleczarskich.

Zmierzch „Echa”

Osobna karta, to działalność chóru „Echo”. Występował on z „Weselem Sieradzkim” Prosnaka, z inscenizacją pieśni „Umari Maciek” itd. A Robak dyrygował również i chórem kolejowym.

Niezłocznie po okupacji chór podjął działalność. Było w nim 60 uczestników, którzy nie żalowali bynajmniej trudu i sił, by wnieść urok i radość do miasta bardzo jeszcze zniszczonego wojną.

W tych latach, gdy życie kulturalne rodziło się od nowa, zapraszano ich wszędzie: na obchody pierwszomajowe, na centralne dożynki; nie brakło ich na wiecach, manifestowali swe poparcie dla nowego ładu i władzy ludowej, chętnie angażując się w rozmaite imprezy.

Wszystkie te poczynania ogniskowały się w budynku starego domu ludowego. Tam też odbywano próby. Dzisiaj na Staromieściu stwierdza się, że nieszczęście zaczęło się od chwili, gdy przed kilkoma laty, na podstawie decyzji ówczesnego Prezydium MRN, przystąpiono do rozbioru domu ludowego. Do dziś z niesmakiem wspomina się niszczycielską przeprowadzkę dobytku zespołu, jego rekwizytów, przedmiotów gromadzonych latami pieczołowicie, które zrzucono w remizie Ochotniczej Straży Pożarnej. Wydawało się wówczas, że będzie można jeszcze coś ocalić, że staromiejskie „Echo”, pozbawione własnej siedziby, będzie mogło kontynuować działalność w budynku Ochotniczej Straży Pożarnej (obecnie już Zawodowej Straży Pożarnej).

Nic z tego jednak nie wyszło, gdy w budynku tym otwarto kino i gdy wieczorami „Echo” ćwiczyło nowe pieśni, zdenerwowany operator przybiegał do małej salki na górę krzycząc, że śpiew przeszkadza widzowi! Chór rozpadł się i wraz z nim upadły i inne

(Dokończenie na str. 8)



Jan Robak

Fot. M. Kopeć

Łańcuta dzień powszedni

LUBIONE miejsce spacerów — park wokół zamku łańcutkiego cieszy się teraz o wiele mniejszym powodzeniem niż latem. Turyści i mieszkańcy Łańcuta chętniej odwiedzają otwarty w końcu ub. roku ogród zimowy — zielony zakątek, gdzie wśród palm i agaw sześciopalcą kanarki i papużki.

A wieczorem? Prawie do ostatniego miejsca wypełnia się sala jedynej w powiecie (a więc może dlatego) kina szerokokraśmowego — „Znicz”. Ani wyjątkowo ciemny obraz, trzeszczący i dławiący się głośnie, a także skrzypiące krzesła, nie są w stanie odstraszyć kinomanów. Pociągają się, że już w czerwcu br. rozpocznie się budowa powiatowego domu kultury, w którym przewidziano także komfortową salę widowiskowo-kinową. Inwestycja, odkładana z roku na rok, doczeka się wreszcie realizacji.

Projekt PDK jest podobno nie tylko wyjątkowo drogi, lecz także i udany. Tak przynajmniej uważano do niedawna. Teraz coraz częściej słyszy się głosy krytyczne mówiące o nie najlepszym rozwiązaniu funkcjonalnym, zbyt małej liczbie pomieszczeń o charakterze kameralnym. W kłopotcie jest Biblioteka Powiatowa, która tak bardzo liczyła, i liczy nadal, na nowe pomieszczenia w domu kultury.

Inicjatywa młodych

Nie czekając na otwarcie PDK, młodzi mieszkańcy z Przedmieścia (dzielnicy Łańcuta) zorganizowali ostatnio koło ZMS i zagospodarowali się w domu ludowym. Wśród pierwszych pomysłów i realizowanych już inicjatyw były wieczorki towarzyskie i dyskusje nad programem telewizyjnym. Głuche, zaniedbane Przedmieście stawiane jest teraz za wzór.

Przez trzy dni w miesiącu hotel PTTK w Łańcutie gości studentów z Wyższej Szkoły Rolniczej, którzy przyjeżdżają tu na wykłady, ćwiczenia i seminaria. Odbywają się one w salach miejscowego Technikum Mechanizacji Rolnictwa. Władze miejskie widzą w punkcie konsultacyjnym krakowskiej WSR zarodek przyszłej własnej wyższej uczelni. Sale ćwiczeń; chemiczna, fizyczna, uporządzone są ze wszystkimi wymogami współczesnej nauki, ba — założono tu nawet, sprzedając Łańcut o co najmniej 5 lat, instalację gazową z własnym zbiornikiem gazu!

Na wiosnę rozpoczyna się prawdopodobnie (oby!) dalsze prace konserwatorskie w synagodze, gdzie pod warstwą nie najciekawszej szarej polichromii odkryto żywe i barwne malowidła. Będą one zrekonstruowane w oparciu o znaną niedawno w Uniwersytecie Warszawskim rycinę artysty malarza Fogla.

W części synagogi, tzw. babińcu, otwarto jeszcze w ubiegłym roku Muzeum Regionalne Ziemi Łańcutkiej.

Stroje — bogato zdobione pracochłonnymi koronkami, rzeźby artystów ludowych, wyroby z żelaza, instrumenty, wreszcie wiernie odtworzone wnętrza chaty chłopskiej z końca ubiegłego stulecia, są rzeczywiście warte obejrzenia.

W zorganizowaniu muzeum największe zasługi położył miejscowy lekarz, Władysław Baliński. Każda wizyta u chorego na wsi to przecież doskonała okazja do znalezienia jakiegoś cennego przedmiotu. Muzealny zbiór zawiera już tysiące prac. Wielu z nich z braku miejsca nie można jeszcze ekspozować, znajdują się w domu doktora. Być może, jeszcze w tym roku, o ile oczywiście organizatorzy przezwyciężą trudności natury prawnej (m. in. sprawa wywłaszczenia), powiat łańcutki wzbogaci się o jeszcze jedno, trzecie już z kolei muzeum, poety ludowego — Jana Raka.

Ryszard Bilski

MATYLDA WEŁNA

milczący i samotny...

PEWNEGO październikowego wieczoru, prawie dziesięć lat temu, w restauracji hotelu „Bulgaria” zasiadła do kolacji grupa ludzi. Byli to delegaci na kolejną sesję Komitetu Wykonawczego Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy. Mimo że dzień był pracowity — humory dopisywały. Pośród wesołej i przyjacielskiej rozmowy ktoś — jak zapewniają naoczni świadkowie doniosłego w życiu dziennikarza wydarzenia — westchnął zniechęca: „Nie byłoby źle mieć nad morzem własny dom, w którym mogliby się zbierać żurnalisci z różnych krajów”. Myśl została podchwyczona i zyskała szeroki aplauz. W lipcu 1958 r. położono kamień węgielny, a dosłownie po roku pierwszy w historii Międzynarodowy Dom Dziennikarzy przekazany został do użytku.

Znalazłem się tam w drugiej połowie sierpnia 1960 roku i od razu wpadłem w zachwyt. Urządzenie luksusowe, atmosfera niezwykle serdeczna. Morze jest tu wszechobecne; plaża kipi różnorodnym gwarem od rana do wieczora, a nawet w nocy. Jako że nad samym brzegiem jest dodatkowa atrakcja w postaci małej „kioszety” z Akim-be-

jem, stylizującym się na Turka i raczącym amatorów leferem (rybacz), winem, koniakami. Są w programie wycieczki do Balczyka, Neseberu, Aładza-Monastynu, obowiązkowo do mauzoleum Warneńczyka, do „kamiennego lasu”.

Dla mnie dodatkową radością było obserwowanie sporej grupy towarzysza rosyjskiego. Był tam wtedy Siergiej Gierasimow z żoną, Tamarą Makarową, reżyser Kalatozow („Leć żurawie”), żona Aleksieja Tolstoj, sporo znanych piór ze świata dziennikarskiego. Spośród gospodarzy zaprzyjaźniłam się z Mitką Borysowem z „Robotniczego Działu” oraz z sofijskim literatem — Mitką Stojanowem Gorczywkinem i jego córką Tatiana.

Dzisiaj przyjechali

Było to na początku września, w ostatnim tygodniu mojego pobytu w Złoty Piaskach. Jak zwykle od rana znalazłem się na plaży. Pano wało tu trudne do opowiedzenia zagęszczenie. Słońce wytaplało z czarnych od opalenizny ciał przysłowite słodkie poty; prażyliśmy się niby skwarki na patelni, godzinami poza

tym, jak dzieci, baraszkując w wodzie. Właśnie zerwałam się spod parasola i bez żadnego przeczuć biegłam ku wodzie, kiedy kątem oka, jakoś mimochodem — tak czasem jest, że niekiedy zapamiętujemy przelotny obraz na całe życie — uchwyliłam ościąłą sylwetkę starszego pana o wyglądzie profesorskim, który z trudem schodził z wysokiej, kamienistej skarpki. Za nim szła szczupła, ciemnowłosa kobieta.

Coś mnie tknęło, kiedy już stałam w wodzie, że przybyły zwrócił się do moich znajomych, państwa N. z Warszawy, po polsku, ale mi nawet do głowy nie przyszło zastanawiać się nad tym. Morze pochłonięło mnie na dobrą godzinę. Dopiero, gdy zmęczenie wzięło górę, rozglądając się dookoła. I znow zaskoczenie: w pobliżu nad wodą unosiła się charakterystyczna głowa pływająca ku brzegowi mężczyzny. Odruchowo powiedziałam do kogoś obok, z polskiej grupy:

— Proszę spojrzeć, jak ten pan podobny jest do Broniewskiego.

— Bo to Broniewski. Dzisiaj przyjechali — usłyszałam nieoczekiwana odpowiedź.

Rzeszów chce własnej poezji...

Rozmowa ze Stanisławem Grochowiakiem

— Rzeszowszczyzna — to region, który w 20-lecie powojennym, a ściślej rzecz biorąc — w ostatnich latach kulturalnie bardzo się rozruszał. Ambicją naszych władz terenowych i ich transmisji jest dążenie do jeszcze bardziej dynamicznego rozwoju w swych formach i treściach kultury tego regionu. Jak pan ocenia nasze szanse?

— Przewiduję wielką karierę Rzeszowszczyzny, jako regionu, w literaturze i sztuce polskiej. Tę karierę zapoczątkowały już oryginalne, przesiąknięte duchem tej ziemi wiersze Białoszewskiego, Bieszczady — jak na razie — stanowią tło dla opowieści awanturnych, ale nawet w tych prymitywnych westernowych fabułach da się odróżnić jakiś osobliwy, nowy klimat.

Rzeszowszczyzna — to okręg o niezwykłym bogactwie podnieci artystycznych: dzikość i dziewiczość Bieszczadów sąsiaduje tutaj z łagodnymi pagórkami Beskidu, niepokojące piękno krajobrazu z urokiem starych miasteczek — w rodzaju Biecza. Osobliwie czuje się związany z krajobrazem Rzeszowszczyzny tak silnie — jak kiedyś byłem uzależniony od krajobrazu Dolnego Śląska; w wyobraźni pisarskiej umieszczam wszelkie patetyczne perypetie moich bohaterów na tle dynamicznego pejzażu tej ziemi. Tutaj właśnie, w okolicach Rzeszowa, toczy się akcja mojej ostatniej powieści pt. „Karabiny”.

— Czy można pana prosić o kilka słów na temat fabuły i tendencji ideowych tej powieści?

— Powieść pozornie mieści się w szeregu wspomnianych już utworów awanturnych i — tak jak one — nawiązuje do malowniczego i okrutnego okresu polskiej rewolucji oraz walk z bandami.

Byłbym jednak niepokieszony, gdyby okazał się płonny mój zamiar przeniesienia owych burzliwych perypetii o piętro wyżej — w wymiar patosu i tragedii. A więc nie staram się unikać wszelkich pytań, które zawsze drażnią i drażyć będą literaturę o ambicjach humanistycznych: problemów miłości i śmierci, wiary i niewiary w istnienie transcendencji, problemu losu jednostkowego i praw historii. O ile nie ule-

gam złudzeniu — to ryzyko podjęcia tego rodzaju problematyki na tle polskiej rewolucji i sztafetu Rzeszowszczyzny — jak na razie — jest moim ryzykiem własnym. Już niedługo, dzięki uprzejmości Wydawnictwa MON, czytelnicy będą mogli ocenić, czy ryzyko opłaciło się, czy też pozostało zwykłym ryzykantwem.



Fot. W. Szostak

— A więc pozostaje nam pilnie wyczekiwać na „Karabiny” najpierw na półkach księgarskich, a następnie na ekranie. Jak wiemy, przygotowania do realizacji filmu w oparciu o ten utwór już się rozpoczęły. Film także będzie nosił tytuł „Karabiny”. A jak pan ocenia dorobek rzeszowskiej grupy poetyckiej, działającej pod nazwą Klubu Młodych Pisarzy? Najnowsze utwory poetyckie członków Klubu zostały panu udostępnione z prośbą o zakwali-

fikowanie najlepszych spośród nich do drugiego almanachu poezji rzeszowskiej.

— Napawa mnie optymizmem fakt — czemu dawaliśmy już wyraz na łamach „Kultury” — że w Rzeszowie powstaje (a jestem przekonany, że tym razem w sposób autentyczny) własne środowisko literackie. Zgodnie z prawidłowością historii i tutaj poezja znalazła się w awangardzie. Miałem zaszczytną okazję uczestniczenia w pierwszym dużym wieczorze poetów rzeszowskich. Reakcja społeczeństwa okazała się nader optymistyczną. Rzeszów chce własnej poezji, popiera ją i docenia. Wydaje mi się, że młodzi poeci rzeszowscy otwierają perspektywę na pełnię wydarzeń literackich, rodzimych, ale i ambitnych. Przypuszczam, że niedługo jest czas, kiedy mówiąc o Polsce literackiej, będziemy wymieniali nie tylko Warszawę, Kraków, Wrocław, Poznań, ale i Rzeszów.

— I na zakończenie może nieco stereotypowe pytanie: najbliższe pańskie marzenia — jako twórca?

— Kiedy bawiłem w wycieczką pisarzy polskich w Rzeszowie, zostaliśmy przyjęci przez I sekretarza KW, tow. Władysława Kruczkę. Tow. Władysław Kruczek zaimponował nam projektami mającymi na celu gospodarczy i kulturalny rozwój tego regionu. Oczywiście, dla pisarzy najbardziej interesujące były zamierzenia kulturalne. W planach tych znalazła się między innymi propozycja utworzenia Ośrodka Pracy Twórczej na Rzeszowszczyźnie.

Moje marzenie formułuję jako zdecydowany egoista: bardzo bym chciał następną moją powieść pisać w pokoju — z oknem wychodzącym na niepowtarzalny krajobraz Ziemi Rzeszowskiej.

Rozmowę przeprowadził:
Tadeusz Kubas

Stanisław Grochowiak widzi miejsce Rzeszowa w Polsce literackiej dopiero w przyszłości. My obserwując od lat rozwój grupy poetyckiej Rzeszowa, której szeroko otworzyliśmy łamy „Kamenu”, sądzimy, że już dzisiaj można o niej mówić jako o realnej części literackiej mapy Polski.

(Red.)

WIESŁAW
KULIKOWSKI

Kartka zimy

Kartka zimy, na której nie napiszę [nawet słowa — ściana moja niepewna dla długich, [bezennych noy. — W drzwiach się otwiera las [wiecznie zielony, gdy zamyka je mróz. — Próg wychodzi z siebie.

— I widzę ciebie tylko przez okno [przerębił.

— A ta kartka zostaje daleko za [oknem wagonu z czarnymi literami wron.

Wędruję przez nią w największą [zamięć i mróz.

— Zawiane są tu wszystkie słowa. — Nikt nie odczyta tych słów. —

— Więc poświęcam tobie te [mijające wierzby,

w które wierzę. — Są w nich jeszcze lata upalne i zimy tak ciche, że można słyszeć biel.

— Tutaj wszystkie drogi są bez [wysjścia,

ale nikt mnie w tej kartce nie [zemię.

Mleciec

JOZEF JANOWSKI

W Bieszczadzie

Na wargach zrozumiemia twarzą do zmierzchu skarzę się ziemi Ziemię w zmwowie ziemi odmieniona Kulą u nogi jestem sobie gdy Ciebie nie ma.

Krosno

Całą plażę błyskawicznie obiegła ta wiadomość. Moi bułgarscy przyjaciele od razu znaleźli się przy mnie. Musiałam w pośpiechu przypominać sobie tak dobrze znane wiersze. On sam zresztą, Broniewski, nie mógł się od tego wymówić: otoczony natychmiast przez rosyjskich, bułgarskich, czeskich wielbicieli, wciąż nagabywany o jedno i to samo — deklamował i deklamował.

Pod znakiem Broniewskiego

Mój pobyt w Międzynarodowym Domu Dziennikarza dobiegał końca. Tych ostatnich kilka dni upłynęło pod znakiem Broniewskiego. Miałam to szczęście, że państwo Broniewscy zajęli miejsce pod parasolem, który dzieliłam z małżeństwem N. Broniewski był milczący. Milczący i samotny wśród tego rozbażonego tłumy — takie odnosiłam wrażenie — patrzył godzinami na morze, lub czytał. Rozmawiał uprzejmie, ale nic więcej. Widziałam ich oboje dziwnie skromnie spożywających posiłki, widziałam go w białej koszuli z zawiniętymi rękawami i w jasnych spodniach przechadzającego się wokół domu, gdzie trawniki dostojnie kipiały od kwiatów, widziałam go w barze i — tańczącego. Miewał podobno i złe chwile; potrafił — jak mi w dyskretności opowiadał — iść środkiem autostrady nie zwracając uwagi na ruch pojazdów. Dopiero pod wpływem gorących próśb pani Wandy skręcał na chodnik. Może to bunt wewnętrzny, przeczuć śmierci w kontraście z tym bujnym życiem dookoła?

Pewnego wieczoru wyświetlano „Cichy Don”, który Gierasimow nie tylko reżyserował, ale i w którym grał główną rolę. Ten film oglądany po raz drugi, ale w niecodziennych

warunkach pod rozgwizdzonym niebem na czarnomorskim wybrzeżu, zrobił na mnie ponownie duże wrażenie. Na drugi dzień powiedziałam na plaży:

— Teraz do szczęścia brak mi tylko „Drogi przez mękę” Aleksiego Tołstoja...

— W moim przekładzie — przypomniał Broniewski i również chwili film oglądany poprzedniego dnia wieczorem.

Któregoś dnia nad plażę nadleciało ogromne stado żurawi. Obserwowałam ożywienie poety. Przyglądał się tej chmarze kołującego ptactwa łapczywie i długo, wyraźnie poruszony. W dziesięć minut po tym przelocie na morze, przed chwilą rozslonecznione, spadła szalona burza, krótka, ale gwałtowna. Silny wiatr od Balczyka przynął ciężkie chmury. Morze w jednej sekundzie pociemniało, zeszywniało jak szarostawa blacha, a potem szybko się pomarszczyło. Podobne było w tym momencie do świeżej, jeszcze połykliwej, równo zorananej roli. Ale w następnych minutach przypominało już jesienną grudę lekko przyprószoną pierwszym śniegiem. Od dalekiego horyzontu nadbiegały białe grzebyczki fal, z których wiatr od ładu tworzył istną zadymkę piany. Broniewski, szybko się ubrał i zaczekawszy na żonę pozełgował w stronę domu, co chwile przystając i z coraz wyższych schodków obejmując wzrokiem rozległą a piękną widok. Kiedy i ja, jedna z ostatnich wracałam z plaży, ujrzalam go na najwyższym cyplu samotnie obserwującego ten mały szkal, tak niezwykły tam o tej porze roku. I takim właśnie, samotnym i uporczywie obserwującym wszystko dookoła, a przede wszystkim niesłuchanie zmienne, nie dające się ująć w żadne określenie Morze Czarne, zapamiętałam Broniewskiego najbardziej...



Rys. Krzysztof Kurzątkowski

Od tamtej pory minęło parę lat. Nie ma już poety między nami. A ja i wtedy tak jak i dziś zastanawiałam się, czy powstały wówczas jakieś utwory. Mam w ręku „Wiersze i poematy” wydane przez PIW w 1964 roku. Wśród „Nowych wierszy”, przedostatniego rozdziału tej książki, są takie, które nieodparcie nasuwają przypomnienie tamtych dni:

„Ptaki latają dokoła
ptaki,
a każdy pyta, każdy woła:
ktoś ty taki?
A jam przyjaciel ptaków,
pięśni, miłości
i mój wiersz jest nie byle jaki...
Można by prościej,
można by całkiem nie pisać,
a ja? — ha! — piszę,
zamiast suce ziemi mleko z sutek
i dyszeć”.

Ten ostatni dwuwiersz tak mocny, prawie drastyczny: „zamiast suce ziemi mleko z sutek wysysać i dy-

szceć” wyraźnie kojarzy mi się z bułgarskim wybrzeżem. A czy kontakt z rosyjskim towarzystwem nie nasunął pocie następujących refleksji:

„Wyjdę na pole, postoję,
nie boję się ani zimy, ani jesieni,
niczego się nie boję
i nie jestem Jesienin.
A on się bał, i tego lęku było
mnóstwo,

ziemia, ziemia,
potem było samobójstwo,
ziemia ciemna.

Niczego się nie boję
tylko, miła, twojego strachu.
Wyjdę na pola, postoję
i zobaczę bociana na dachu”.

Czy jednak można oba te utwory faktycznie kojarzyć z paratygodniowym pobytom Broniewskich na bułgarskiej Rivierze? Czy ów bocian na dachu jest tęsknotą za ukochnym mazurskim krajobrazem? Nie wiem. Niech na te pytania odpowiedzą historycy literatury.

Pszczelarze

W leplance
z grudy lubelskiej wyrosniętej
mieszkam [niesporo
wychylona nad pochyłość [pagóreczka.

— Co wyniosłe:
dawność debową
kalin gałęziostę
sosen prostotę
podszepniętą samoistność
mam.
Bujną grzędą ziołową od Zemborzyca
przepycha się cebulowe słońce.

Pszczelarz
w misie
do lepianki wniósł plaster
zaknił
Isnieniem
blizantyskich kopuł
orderami
na jednej zawistymy baretkę
w które wrzos trząskal ongiś
drobnymi eksplozjami karczewisk

złemia — ludziom
drzewom — ludzie
pamięć powstańcom
las.

Za własną lepiankę z otwarciem
wszystek miód —
oddali.

MARIA JÓZEFACKA

piniger

o uwieczniona sosnami moja ty
[panno wiślana
to chyba ciężko na głowie unieść
[niepokój lesiwa
i wszystkich szczylni niebieskich
otwartych drwała siekiera
zrzucę z głowy wieniec żywiczny
z falą jak tratwę go przysięli
a może jeszcze ocalisz
tych co szukają cię w wiśle

Ludzie i lalki

ADAM
POTASZ

Mała scenka schowana za parawanem. Dekoracje i kolorowe kukielki poruszane niewidocznymi rękami animatorów wyczarowują przed oczami dzieci obrazy fantastycznego świata baśni, w którym wszystko może się stać, wszystko jest możliwe. W tym względzie teatr lalkowy zdolny jest stworzyć cuda nieosiągalne dla sceny żywej. Ale myśli się na pewno ten, kto sądzi, że w teatrze lalek pokazuje się tylko złote rybki, które przemawiają ludzkim głosem albo zaczarowane księżniczki, złe czarownice, groźne smoki czy stwory dziwne i tajemnicze. To są tylko pozory. Pod baśniową szatą zęcznie ukryte są słowa mądrości.

NAJDOBITNIEJ można się o tym przekonać idąc z dziećmi do teatru. Świętą lekcją poglądową są również lalkarskie spotkania. Ta cenna inicjatywa, wiążąca się ze współpracą kulturalną czterech województw wschodnich przetrwała się już w dobrą i piękną tradycję. Po dwóch dotychczas organizowanych spotkaniach, które odbyły się w Lublinie, w gustownie urządzonej siedzibie Państwowego Teatru Lalki i Aktora na Starym Mieście, pozostało wiele artystycznych wrzesań, wymienionych doświadczeń warsztatowych oraz wspomnień. Ale czas szybko ucieka: oto już na III Spotkanie Teatrów Lalkowych Polski Wschodniej, które odbędzie się w dniach 22–26 kwietnia br., gorąco i serdecznie zaprasza w imieniu rzeszowskiego „Kacperka” Przemysław — miasto malowniczo położone nad Sanem.



Tamtejsi działacze kulturalni z wielkim zapałem przystąpili do przygotowań. Trudno wymienić wszystkich, którzy od kilku miesięcy ofiarnie pracują w Komitecie organizacyjnym. Są w nim pracownicy Wydziału Kultury MRN, przemyskiego Dому Kultury, nauczyciele, plastycy, przedstawiciele organizacji młodzieżowych i społecznych. Na posiedzeniach poszczególnych komisji opracowuje się plany dekoracji miasta, oświetlenia. W przygotowaniu jest kilka wystaw, a mianowicie: „Plakat teatru lalek w okresie XX-lecia”, wystawa książek facho-

wych z dziedziny lalkarstwa połączona ze sprzedażą oraz ekspozycja lalek. Wszyscy dokładają starań, żeby Przemysław jak najokazalej przyjął niecodziennych gości.

Program spotkania jest bogaty i zapałająco interesujący.

W pierwszym dniu wystąpią gospodarze imprezy: Państwowy Teatr Lalki i Aktora „Kacperk” w Rzeszowie wystawi sztukę J. Kaliby pt. „Złoto króla Megamona”. Teatr „Świerszcz” z Białogostku przyjeżdża ze sztuką Z. Poprawskiego — „Misie Ptasie”. Zespół z Kielc zaprezentuje „Awanturę w teatrze lalek” — Borysowej, a z Lublina „Plaszcz” według opowiadania Gogola, w adaptacji Tuwima. Natomiast „Rabcio-Zdrovotek” przywiezie sztukę Anny Świrszczyńskiej pt. „Szu-Chin”. Poza tym aktorzy Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Arlekin” z Łodzi przeprowadzą kilka szkoleniowych pokazów z zakresu ruchu lałką i gry animatora. A więc na podstawie zestawienia samych tytułów można stwierdzić, że przygotowane przez poszczególne zespoły przedstawienia dostarczą wiele ciekawego i dyskusyjnego materiału na tematy dotyczące reżyserii, inscenizacji, scenografii i gry aktorskiej.

Ale „Spotkanie” będzie okazją nie tylko do wymiany doświadczeń warsztatowych, lecz także i teoretycznych. O nieustających poszukiwaniach nowych form artystycznych w teatrze mówić będą wybitni fachowcy lalkarstwa z Polski i z zagranicy. M. in. Czesi wygłoszą referat nt. czarnego teatru, a Niemcy mówić będą o zastosowaniu nowych tworzyw sztucznych w plastyce. Mgr Alina Stanowska z Lublina przygotowuje referat pt. „Wpływ teatru lałkowego na wychowanie dziecka”, a mgr H. Jurkowski — „Teatr misteryjny w dawnej Europie”.

I jeszcze jedno. Przemysław imprezę śmiało można nazwać wielkim zjazdem lalkarzy z całej Polski. W ostatnim bowiem dniu, tj. 26.IV. br., Polski Ośrodek Lalkarski Międzynarodowej Unii Lalkarskiej (POLUNIMA) wyzna-czył walne zebranie swoich członków.

Oprócz dyrektorów wszystkich teatrów wezmą w nim m. in. udział: przewodniczący POLUNIMA, dr Jan Sztandynger, jego zastępca, prof. Stanisław Howski, oraz sekretarz, mgr Henryk Jurkowski. Liczne również reprezentowani będą zagraniczni goście. Spodziewany jest przyjazd fachowców lalkarstwa z Charkowa, Lwowa, Morawskiej Ostrawy, Bratysławy, Zagrzebia i Berlina.

Działacze z Przemysławia dokładają starań, żeby liczna rodzina lalkarzy czuła się tutaj dobrze, żeby III „Spotkanie” było — podobnie jak poprzednie — pod każdym względem udane.

DEBUT

ANDRZEJ LUBICZ

* * *

Wrócić
w moje małe ramy
tak aby nie zbudził tłumego kota
tak aby wejść i siąść
po prostu chciałbym

Złamać obie ręce
żeby zaniechać poznania
przy każdorazowych dotykach
przygody

Wrócić tak chciałbym
i nie przetwarzać przygód

Wtedy bym się zapadł
w swoim dawnym śmiechu
dawnym płaczu
dawnym krzyku
i nie by już na mnie się nie
nauwarściwo

To samobójstwo nadziei.

Kielce

Ballada przedmieścia

(Dokończenie ze str. 6)

formy kulturalnego życia na Staremieście. Dzisiaj już do przeszłości należą te czasy, w których świetlica „Echa” tak była znana ze swej pracy, że na zajęcia świetlicowe przyprowadzano tu z miasta uczniów i uczennice szkół licealnych.

Dzisiaj młodzież dowiaduje się tylko z opowiadań rodziców o tym, jaki był ruch, gdy wystawiono „Królów Przedmieścia”, gdy grano „Lobzowian”, czy „Białe fartuszeki”...

A przecież krajobraz Staremieścia w tych latach kompletnego, trzeba to jasno stwierdzić, zaniku autonomiznego życia kulturalnego, przeobraził się w sposób bardzo korzystny. Ów pałac Jędrzejowicza, ozdoba „odkrytych pocztów” z roku 1910, rozbudowany kosztem dziesiątków milionów złotych, jest dzisiaj wielkim kombinatem lecznictwa przeciwgruźliczego. Wśród małych wiejskich i podmiejskich domków wyrosły dwie nowoczesne inwestycje przemysłowe: Fabryka Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego „Alima” oraz Zakłady Mięsne.

Charakterystyczne zjawisko

I tutaj, podobnie jak i w innych ośrodkach, notuje się zjawisko charakterystyczne dla naszych stosunków: jeśli większość mieszkańców Staremieścia zatrudniona jest w zakładach czy też placówkach w innych dzielnicach Rzeszowa, to z kolei na Staro-

mieście do pracy w „Alimie” czy w Zakładach Mięsnych przybywają każdego ranka tysiące ludzi, by po południu wrócić z kolei do centrum miasta lub innych dzielnic peryferyjnych. Stąd też ich zaangażowanie w zagadnienia kultury Staremieścia jest znikome. Mówi się ogólnie, że wielkie świetlice, pomieszczenia klubowe w tych właśnie zakładach, można by udostępnić w jakimś stopniu mieszkańcom dzielnicy, tym bardziej, że żadna prawie więc nie łączy kierownictwa tych zakładów ze społecznością Staremieścia.

Nie jest zapewne rzeczą przypadkową, że o tych wszystkich sprawach słyszy się coraz częściej właśnie teraz, gdy weszliśmy w okres nowej kampanii wyborczej, gdy w poszczególnych dzielnicach — i na Staremieście również — przeorganizowano zespół Dzielnicowego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Weszli doń ludzie pełni dobrych chęci, inicjatywy, doświadczeni, tacy jak np. kierownik szkoły, działacz ZNP, Ferdynand Brzęk, Franciszek Parada czy Henryk Niemiec. Zapewne potrafią oni odwrócić kartę, bynajmniej nie najlepszą, i ożywić gnusną atmosferę popołudni i wieczorów.

Możliwość jest mnóstwo: kółko rolnicze stawia do dyspozycji swój lokal, który, chociaż nie odpowiada wymogom, mógłby obok szkoły, gdzie zbiera się aktywny FJN, posłużyć za miejsce wstępnych rozmów między staromieścianami — jak się chętnie do dzisiaj nazywają — a przedstawicielami zlokalizowanych tu zakładów

przemysłowych, których ambicją powinna być przecież pewna integracja w środowisko.

Jest o co zabiegać, są treści i pieśni warte przekazania kolejnym pokoleniom. Przecież w roku ubiegłym staromiejskie piosenki, rzeszowskie tańce, zdobyły pierwszą nagrodę na XI Festiwalu Folklorystycznym w Agrigento na Sycylii!

Argumenty i zazdrość

...Na naradach dzielnicowych komitetów FJN, organizowanych przez Prezydium Frontu Jedności Narodu w Rzeszowie, na zebraniach terenowych podstawowych organizacji partyjnych, szczególnie związanych z poszczególnymi rejonami, na lamach „Nowin Rzeszowskich”, ba, nawet poprzez Pałki Komitetu Opieki Społecznej, mieszkańcy innej dzielnicy Rzeszowa — Staroniwy — coraz głośniej i energiczniej domagają się, by zwrócono im, zajęty na cele Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych, tamtejszy dom ludowy. Byłam wprawdzie niedawno świadkiem, jak podjęta przed kilku laty decyzja zamknięcia domu ludowego na Staroniwie tłumaczono niewłaściwym zachowaniem się jego bywalców, ale to przecież niczego nie wyjaśnia.

Obywatele Staroniwy, chcąc ostatecznie dom ludowy rewindykować, przytaczają i ten argument, że w perspektywicznych planach rozwoju Rzeszowa zakłada się nie tylko organizowanie dla poszczególnych dzielnic zaplecza usługowego, handlowego, z dziedzin służby zdrowia, ale, w równej mierze, samodzielnych, dobrze wyposażonych ośrodków życia kulturalnego.

I mieszkańcy Staremieścia, i Staroniwy z niejaką zazdrością spoglądają na osiedle Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, gdzie wielka fabryka, jej

ruchliwy i dobrze finansowany Zakładowy Dom Kultury, żywo redagowana gazeta fabryki i osiedla „Wiadomości Fabryczne” ogólnopolski laureat Zespół Poetycki „Meluzyna”, laureat z innej dziedziny — fotoamatorski klub „Rzech”, stwarzają warunki szczególnie pomyślne. To prawidłowość naszego czasu: za wielkim przemysłem idą wielkie inwestycje. Tu, gdzie jeszcze niedawno rozciągały się zielone pola, coraz gęściej rosną nowoczesne bloki, nieopodal Zakładowego Domu Kultury, który wieczną parą polyskuję wielkim neonem, stają nowe pawilony Wyższej Szkoły Inżynierskiej.

Ale to zupełnie inna część miasta...

By nie umilkły...

Od strony Stalowej Woli, Niska, dziesiątki autobusów i samochodów wjeżdżają do Rzeszowa przez most na Staremieście. Właśnie Jan Robak zwrócił mi uwagę na to, że zwłaszcza letnią porą dziesiątki nastolatków w znużeniu i beczynnie wysiadują na poręczach, próbując zacieplić dźwięczną — Nie chuligania co prawda — dodaje, — ale, czy to dobrze, że nie nie potrafimy dla nich zorganizować, że nie możemy ich czymś zająć, czy dać im jakiejś godziwej rozrywki?

Można by się nawet pokusić o jakieś efektowne analogie, cytując referen- w tak popularnej i urokliwej piosenki „Ballada Przedmieścia”...

Nie o efekty doraźne jednak idzie. Chodzi o to, by na przedmieściach, mimo iż w pojęciach administracyjno-prawnych stanowią one już dzielnice przyłączone i stały się miastem, nie umierały sprawy niebędne.

Właśnie rzeczą miasta powinna być troska o to, by nie umilkły „Ballady Przedmieścia”...

Cecylia Błońska

JUŻ W CZASACH RZYMSKICH

DZIESIĘĆ już lat krakowscy archeolodzy i inni naukowcy grupujący się wokół Zespołu Historii Polskiej Techniki Hutniczej i Odlewniczej Polskiej Akademii Nauk, wokół Katedry Historii Techniki i Nauk Technicznych AGH oraz krakowskiego Muzeum Archeologicznego prowadzą badania nad historią starożytnego hutnictwa świętokrzyskiego.

Niezwykle ciekawe są wyniki tych badań. W zamierzchłych wiekach, sięgających nawet okresu przed naszą erą — późnolatyńskiego, rzymskiego i wczesnego średniowiecza, Kielecczyzna, a zwłaszcza jej regiony położone w Górach Świętokrzyskich, była kolebką silnie rozwiniętego jak na tamten czas górnictwa rud i wytopiania metalu.

Ankieta i helikopter

Rozpoczęte w 1955 roku przez znanego krakowskiego uczonego, prof. Mieczysława Radwana, i jego współpracownika, kustosa Muzeum Archeologicznego, dr Kazimierza Bielenina, badania wiązały się z odkrytymi na obszarze ok. 600 km kwadratowych śladami starożytnej produkcji hutnictwa żelaza w północno-wschodniej części Gór Świętokrzyskich.

Początkowy okres prac stanowiły głównie badania powierzchniowe. Następnie trzeba było zająć się zainwentaryzowaniem śladów hutniczych i osadniczych stanowisk. Opracowana została specjalna ankieta do młodzieży szkolnej i ludności wiejskiej.

Ankieta okazała się bardzo udaną przedsięwzięciem — ludzie opisali w niej znane w okolicy ich zamieszkania ślady, w postaci kawałków i brył żeluzi na polach i miedzach, co dla archeolo-

gów było cenną wskazówką, gdzie należy szukać stanowisk starożytnych hutników. Ankieta umożliwiła zarejestrowanie 1928 stanowisk hutniczych oraz związanych z nimi wielu punktów starożytnego osadnictwa.

Dr Kazimierz Bielenin w swych niestrudzonych pracach badawczych wpadł na doskonały pomysł prowadzenia badań z powietrza. Wylatywał wielokrotnie helikopterem i krążył nad terenem spodziewanych śladów starożytnego przemysłu hutniczego robił zdjęcia. W czym mogło pomóc to oblatywanie terenu i robienie zdjęć? Wytłumaczył mi to w czasie jednego z naszych stałych przyjacielskich spotkań na stoku Łysicy.

— Doszedłem do przekonania — powiedział — że zawsze tam, gdzie są ślady starożytnych osad ludzkich i stanowisk pieców hutniczych, ziemia jest ciemniejsza, bardziej wilgotna; widać to doskonale z góry. Przekonałem się o tym w wyniku wielokrotnych sprawdzeń. Zauważyłem np. jakąś plamę. Zaczynaliśmy potem w tym miejscu poszukiwania i z reguły odkrywaliśmy po kilkanaście śladów piecowisk, mielerzy czyli stosów drewna do wypalania węglu...

Dwanaście razy latał dr Bielenin nad terenami, gdzie spodziewał się istnienia starożytnych pieców hutniczych. Wykonał ponad 900 zdjęć, stanowiących obszerny, bogaty materiał dokumentalny do dalszych badań. A wiosną 1961 roku wciągnięci zostali do pracy geofizycy. Ustawiali oni na badanych miejscach specjalne czułe aparaty rejestrujące obecność w ziemi kawałków żeluzi piecowego.

W ciągu dziesięciu lat krakowscy naukowcy przekopali 98 stanowisk archeologicznych, z czego 86 piecowisk hutniczych, 22 stanowiska osadnicze, 2 cementaryska oraz jedno stanowisko starożytnego górnictwa w podziemiach kopalni rudy „Staszic” w Rudkach. Dotarli oni tu do starych chodników, gdzie odnaleźli prymitywne narzędzia

górnictwa sprzed kilkuset lat. Narzędzia te można dziś oglądać w krakowskim Muzeum Archeologicznym.

Okazało się, że aż czternaście osad mieszkalnych starożytnych hutników pochodzi z okresu rzymskiego, o czym świadczyły znalezione rzymskie monety, denary...

Głównym obiektem badań krakowskich archeologów jest starożytne świętokrzyskie piecowisko hutnicze. Wykopane materiały piecowiska pozwoliły na wyjaśnienie takich istotnych spraw, jak technika i technologia wytopów w dymarkach, organizacja pracy i produkcji. Można też było zrekonstruować piec hutniczy sprzed tysiąca lat.

Wiarygodny świadek

Profesor Mieczysław Radwan, niestrudzony badacz starożytnego świętokrzyskiego hutnictwa, rozmówiony jest we... wspaniałym poemacie opiewającym trud starożytnego górnika i kuźnika Walenty Rozdzieński — sam górnik i hutnik poeta — nazwał swój hutniczy poemat „Officina Ferraria” albo Huta i Warsztat z Kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego”. Świadek wiarygodny — tak mówi o Rozdzieńskim prof. Radwan — świadek rozwoju starego hutnictwa. Wielokrotnie rozmawialiśmy z profesorem o Rozdzieńskim i jego poemacie w czasie spotkań na polanach Gór Świętokrzyskich. Znam ten poemat od czasu, gdy kupiłem kiedyś w Katowicach pierwsze powojenne wydanie Instytutu Śląskiego, w 1948 roku.

Powiedział mi więc kiedyś profesor Radwan:

— Wartość poematu „Officina Ferraria” polega między innymi na tym, że pewne jego fragmenty mogą być traktowane niemal jak dokumenty historyczne. Wielu uczonych, jak choćby B. Zientara, w swych „Dziejach małopolskiego hutnictwa żelaznego XIV—XVII wieków” powołuje się na Rozdzieńskiego wielokrotnie jako na miarodajne źródło wiadomości o drogach przenikania nowych metod produkcji na ziemię polską. Mówi on też, że Rozdzieński powinien być traktowany nie tylko jako poeta, ale i jako historyk.

W nowym, bardzo starannie wydanym poemacie Rozdzieńskiego, opublikował prof. Radwan swoją pracę pt. „Świadek wiarygodny” — właśnie o Rozdzieńskim i o jego poemacie. Mówi on tam, że starożytni świętokrzyscy hutnicy byli wspaniałymi mistrzami i nawet wędrowali na Ruś, gdzie budowali „samokowy i domnice”, uczyli „szlachetnego dzieła żelaznego” rosyjskich kuźników. Wspomina o tym S. G. Strumilin w swej „Istorii czornej mietallurgii w SSSR”, mówiąc o majstrze, który „izza rubieży przyjechał” i na miejsce młyn „rudniu zaudoit”. Strumilin pisze: „W diekabrie 1651 g. u Morozowa dostrawiali rudniu w s. Łyskowie najemnyje mastiera Polaki”. Znacznie wcześniej zresztą, bo już w XII wieku, na Białej Rusi i na Rusi Kijowskiej podobnych rudni było bardzo wiele. I niewątpliwie budowali je polscy rudnicy.

Pisze Walenty Rozdzieński o tych polskich świętokrzyskich kuźnicach i o innych:

„Jest kuźnic i na innych miejscach
więcej jeszcze
Tak dawno zbudowanych jak i nowych
w Polsce,
Których już jest niemato w ziemi
sędmierskiej,
Zwłaszcza w lesiach poblizu gory
świętokrzyskiej...
...Najdują też tam kruszec srebrny i
różliczny
Marmur lamią a nadto kopają też
sliczny
Lazur barwy niebieskiej, który
turkosowi
Podobny jest, kiedy go glancowanie
wyprawi,
Drudzy na Białej Rusi zszedzą się z
Sfistony

Moskieteskimi kuźniki — wnet też
oficymy
U nich z kunszty wodnymi żelazne
stawaiall,
Bo tam pierceej bez kunsztowa dęli
i kowaall...

Odkrywczce prace

Niedawno w sali odczytowej Oddziału PAN w Krakowie odbyła się dwudniowa sesja sprawozdawcza z wyników badań nad starożytnym świętokrzyskim hutnictwem. Była to sesja jubileuszowa, w pewien sposób podsumowująca dziesięć lat pracy archeologów i badaczy historii hutnictwa i techniki hutniczej.

Krakowscy archeolodzy i historycy techniki hutniczej kontynuują swoje prace badawcze. Napisali oni już i ogłosili drukiem, nie tylko w Polsce ale i za granicą, wiele cennych i odkrywczych prac dotyczących dzieł starożytnego świętokrzyskiego hutnictwa. Wydaje się, że celowe byłoby i bardzo na czasie zebranie tych prac w jednej książce. Stanowiłaby ona bardzo cenny zbiór wiedzy o pięknej stronie kultury materialnej polskiego narodu, kultury technicznej, która też obchodzi swoje — Millenium.

Tadeusz Bartosz

ALEKSY KAZBERUK

słońce nad podlasiem

nie pojedą w dalekie kraje
ogłądać mórz przyplwy
antyczność ruin spleśniałe gondole

wstanę wcześniej
obejrzę wschód słońca
nad podlasiem —
mieni się będzie barwami tęczy
stu kolorami dopełniać
każdego ramka inaczęj
w drobiazgu każdym
i w sumie wszystkich szczegółów

na bezdrożach
chadzał w noey wiatr
rozczułały się trawy
rosą na pastwisku
bosonoga dziewczyna
lub jej bosy brat
przed śniadaniem przyganiał tam
swoje dzieciństwo

zapach chleba zgadywałem przez
[sen

a na jawie
jakże często nie chciałem być
[głodnym
Białystok

KAZIMIERZ
EUGENIUSZ STESZUK

za oknem

wrony w rynsztoku
skłócone o wyrzucony kartofel
na ulicy
plugi orzą białą watę śniegu
zima

miałutki plaster okienka
a taki w nim świat szeroki
domy utopione w śniegu
wrony skłócone w rynsztoku
o kawałek kartofla
pies z kulawą nogą
i ludzi
zagrypionych chodnik.

Chelma

Z teki Jerzego Olży (Rzeszów)



„O s t y”

SONG LILI MARLEN

JERZY KSIĘSKI

Byłam na swoim miejscu zawsze
— z chłopcami, na wojenne.
W 14 roku kufle w barze
z rąk moich brały żołnierskie ręce.

Do zobaczenia w Paryżu chłopcy!
Smiałam się... odjeżdżałam.
Na długo zalegił w ziemi obcej,
czekałam — nie wracał...

W śmiertelny zapadając sen
marzyła tylko o mnie.
— Żegnaj Lili Marlen...
Ja la... Lili Marlen.

Gdy się zaczęła wojna nowa,
usługiwałam znowu w barze.
Chłopcy umieli maszerować!
Ze nie umieli kochać? Nie ważne...

Znowu musiałam z nimi iść
z manierki za ich zdrowie pić.

W śmiertelny zapadając sen
nie zapomniałam za to o mnie,
— Żegnaj Lili Marlen...
Ja la... Lili Marlen.

Dziś w pustym barze sama piję,
bo siostra, śmierć, swój przedzie
[sen].
Miliony razy mówiłam „Niech
[żyje]!”
Kto chciałby żyć z Lili Marlen?

Byli znow tacy, próbowali,
lecz gdy już bar był pełen gwaru,
cienie sunęły pod ścianami
tych z Werdun, spod Stalingradu...

Rozpoznawałam w strasznych
[zjawach]
chłopców znajomych mi sprzed lat.
Znowu za ladą stoję sama,
przy mnie kadłuby. Twarze bez
[twarzy],
czaszki bez oczu, bez serc, tułowia...

Witaj Lili Marlen!
Znow wypij za nasze zdrowie
Ja la... Lili Marlen.

Wiersz z programu „Pochód nie w
pore” Studenckiego Teatru Akademii
Medycznej „DIEN 59”.

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

Odkurzenie antyku

O D pewnego czasu Operetka lubelska nie miała w swoim repertuarze pozycji uświęconej tradycją lekkiej muzy. Toteż premiera „Ptasznika z Tyrolu” wzbudziła zainteresowanie. Utwór ten zalicza się do klasyki operetkowej, która jest materiałem kontrastującym z dzisiejszymi poglądami na teatr muzyczny. Pewnie dlatego ostatnie próby nowoczesnego wystawienia operetki Zeller, podejmowane przez różnych reżyserów, nie wypadły zbyt okazale.

Koncepcja realizatorów lubelskiego spektaklu uwidoczniła się zaraz po rozsunięciu kurtyny. Stało się tak dzięki świetnemu pomysłowi scenograficznemu Bolesława Kamykowskiego. Otóż tył sceny przedstawia krajobraz górski, namalowany bardzo słodko a oprawy w filuterną ramkę. Całość kojarzy się z secesyjną pocztówką lub malowanym krajobrazem, na którego tle fotografują się turyści. Ten ton niefrasobliwego traktowania starzyni utrzymany jest konsekwentnie przez całe przedstawienie i nie został posunięty do groteski, co popsułoby całą zabawę. Jednocześnie malowane paneau dają dużo przestrzeni, która jest potrzebna reżyserowi, Barbarze Kostrzewskiej, dla bez przerwy poruszających się chórów, dla rozmachu, z jakim komponowane są sceny zbiorowe. Kostrzewska, z operetki o blahym librecie (takim z dowcipami, z których się nikt nie śmieje) robi dobry teatr.

Na scenie wszyscy są aktorami, dlatego chór nie tylko jest w ciągłym ruchu oddając w ten sposób werwy przedstawienia, ale także gra, każdy z komparsów ma inny wyraz aktorski. Efekty teatralne sprawiają, że niedostatki libretta stają się mniej widoczne. Zresztą, kiedy się bierze zellerowską muzykę, wiadomo, że tylko ona się liczy, że wszystkie perypetie są pretekstem, okazją dla muzyki, śpiewu i tańca. Nie szkodzi, że słowa gina w partiach chóralnych, bo przecież „Ptasznika” nie trzeba rozumieć, „Ptasznika” się zna. Jak mówiał o innym dziele Franc Flazer, pozaj tym

libretto, omdłodzone przez Słowackiego i Janickiego, z aluzjami do współczesności i z naszym słownictwem, jest o niebo lepsze od starego przekładu Danielewskiego, co nie znaczy, że jest zupełnie dobre. Najlepszy pomysł to Baltazar — książę, nieobecny, a jednocześnie deus ex machina, reżyser perypetii scenariusza; wszystko się dzieje ze względu na niego. — Fortynbrass przykrejony do potrzeb operetkowych.

Całe przedstawienie ma znakomite tempo. Rzuci się w oczy dopracowane epizody, jak np. ten z „Pardon”. Drugim majstersztykiem jest nie przeszarżowana scena z profesorami (Komiczni Jerzy Ambroziak i Paweł Wojtczak; Tadeusz Rossowiecki reprezentuje humor w gorszym gatunku).

Bardzo logicznie i z sensem wmontowano układy taneczne. Choreograf, Mikołaj Kopsiński, postawił przed baletem trudności większe niż to zwykle wdziedliśmy. Układy były bardzo pomysłowe, wdzięczne, nie brakowało stylizacji na tańce ludowe. Podobał się lekki, precyzyjny taniec plaków wykonany (na polkach), przez solistów: Wiesławę Kociniak, Danutę Abramowicz i Annę Miklaszewska. Słabiej od pań wypadli tancerze, u których znacząco niedostateczną sprawność fizyczną; mimo to dwaj młodzi zapowiadają się dobrze.

Klasyczna operetka stawia duże wymagania wokalne. Sprościli nim właściciele wszystkie, których wdziedłem. Felicyta Jagodzińska (Krysią) pokazała pełnię swego talentu. Budziła podziw jej koloratura, którą posługiwała się bardzo subtelnie, warsztat aktorski pozwolił na wydobycie z roli sporo świeżości i wdzięku. Partnerem godnym jej był Marjan Josicz, którego talent rozwija się z każdym przedstawieniem. Josicz ma nowoczesny typ urdy, wdzięk, temperament, który wystarczyłby jeszcze kilku amantom. Główna aria w jego wykonaniu posiadała niezwykły liryzm. W roli Adama występuje również Zbigniew Waloch („Import” z Łodzi). Niespecjalnie opanowany warsztat aktorski, brak elegancji w ruchach, zbyt widoczna różnica między fałszem a normalnym głosem, luki pamięciowe w finale obniżają ocenę tego, poza tym dobrego śpiewaka, Adama gra także Jerzy Molenda.

Józefa Kasperskiego i Jerzego Michotkę wdziedłem w roli Stanisława — hrabiego podziwiałego się pod kąlający sztyt. Obaj portretowali te postacie inaczej, zgodnie ze swoimi warunkami zewnętrzными i to jest bardzo cenne. Kasperski nie uległ scenicznemu sugestiom sławnego warszawianina i stworzył, nalepszą z granicy dotychczas, postać wyumianką dworaka. Jerzy Michotek natomiast był buńczuczny oficerem-hulaką. Popularny piosenkarz czuje się na scenie bardzo swobodnie, momentami ma się jednak uczucie, że zbyt szarżuje. Jego scenicznym wujem jest Tadeusz Sosnowski (baron Wepa), który z początku wydaje się zbyt dobroduszny, brak mu chłodnego cynizmu fronta, ale ponieważ gra w sposób konsekwentny można się zgodzić z taką interpretacją. Rola księżnej Marii kreują Teresa Piatowska — śliczy nabytek z Poznania i Aura Szymańska. Piatowska dysponuje bardzo pięknym, silnym głosem na pograniczu sopranu lirycznego i dramatycznego, niestety, aktorcko jest zupełnie surowa i obecnie można mówić tylko o jej walorach wokalnych. Dobrze zagrała te role Szymanowska, wykorzystując aktorsko zmianę środowiska i incognito księżnej w i akcji, w następnych miała ciepłarniany czar, jej delikatna koloratura zgrała się z postacią w jedną całość zofia Bronkowska. Xenia Grey w roli podstarzałej baronówny Adeleidy pokazały: jedna swą naturalną wia comica, druga kulturę sceniczną i umiejętność kłopotowania farsy.

Na dobrym poziomie była reszta postaci — Henryk Łabunski, Maria Kobylka, Jądawga Nowiszewska, Nela Zdziszewska i Aleksander Sozański.

Brawa należą się dyrygentowi Henrykowi Orłowskiemu i orkiestrze za synchronizację z wokalistami.

Ewa Fabian i Bolesław Gcias zaprojektowali piękne i pomysłowe stroje, szkoda tylko, że nieszczególnie ubrali Krysię.



Fot. Edward Hartwig

Sukces, który odniósł Teatr wystawiający „Ptasznika”, jest świadectwem konsekwentnego podnoszenia się poziomu zespołu. Może wreszcie nadejdzie premiera, podczas której recenzent będzie mógł z czystym sumieniem zawiesić sztyt krytyki na karku i swobodnie zająć się klaskaniem...

TU i ówdzie

Żeby przynajmniej de Sade...

Informowaliśmy w poprzednim n-rze o wrażliwości włoskiej cenzury na erotykę w literaturze. Nie mniejszą opanką otacza „moralność publiczną” ministerstwo spraw wewnętrznych Francji, w porozumieniu z ministerstwem sprawiedliwości. Parę tygodni temu wydawca Pauvert został skazany na zapłacenie grzywny w wysokości 5 tysięcy franków za umieszczenie w katalogu przeznaczonym dla księgarzy — tytułów wyjętych spod prawa reklamy. Do prohibitorów należy m. in. praca „Arcydzieła erotyzmu”, zawierająca teksty Apollinaire’a, Eluarda, Cendrars’a, Celine’a, Henry Mille-ra, Moravilla, z ilustracjami Picassa, Matisse’a, Modiglianiego i in.

Szeksplir a telewizja

Po realizacji „Poskromienia złoćnicy” i „Wiele hałasu o nic” telewizja francuska pokazała rzeszom swych abonentów Szeksplirowego „Króla Leara”. Przedsięwzięcie odważne, gdyż specyfika małego ekranu wymagała „odbrakowania” tekstu. Usprawiedliwiają w zasadzie ten niewdzięczny zabieg, krytycy dziennika „Le Monde” stwierdzają, że spektakl jakby nabrał cech pseudoklasycznej tragedii w stylu Racine’a. Niemalże problemem jest drugie wzdzięk, co powszechna atmosfera ogólna domowego ugosobienia roznieglowanego obywatela do wytrwania przed okienkiem telewizora w trzygodzinnym nabożnym skupieniu?

Komunizm era piękna

Oto hasło listu wybitnych plastyków radzieckich, którego treść została uznana za bardzo aktualną przez komisję koordynacyjną do spraw szkolenia instruktorów artystycznych. Chodzi o wydatne zwiększenie autorytetu plastyków-projektantów w radach narodowych i zakładach pracy. Do nich powinna należeć troska o to, by wypuszczane na rynek artykuły przemysłowe były nie tylko sporządzone z dobrych, trwałych materiałów, ale i cieszyły oko zaletami estetycznymi.

Blaski i cienie

Z okazji 75-letnia urodzin Wacława Nizyńskiego dziennik „Die Welt” zamieszcza entuzjastyczne o nim wspomnienie. Natura obdarzyła wyjątkowo szorstko tego fenomenalnego tancerza, który przybył na Zachód z baletem Diaghilewa w 1910 r. „Jego gracja” — mówi autor notatki — „przypominała zniechęcony wysmukły tani czy zwinny pantery. Miał zarazem coś z precyzyjnego mechanizmu zegara. Twarz jego, azjatycka maska z czającym się w głębi żrenie byskiem bliskiego odbicia, była na wskroś demoniczna”. Cierpienia Nizyńskiego rozpoczęły się w czasie drugiej wojny, kiedy to psychiatrzy nie miecicy, zgodnie z zaleceniami Hitlera, robilił umysłowo chorym śmiertelnie zastrzyki. Artysta znalazł schronienie i opiekę u wielkodusznej mecenasicy w Wiedniu aż do momentu, kiedy oficerowie brytyjscy przywieźli go do Anglii, gdzie zmarł w r. 1936.

Kto słyszał o Danielu Dyke’u?

Okazuje się, iż złoćwicy, których nie brak było w wieku XVII, pomawiali znakomitego myśliciela Franciszka de La Rochefoucaulda o zapożyczenie wielkości swych aforyzmów z „Sondy sumienia”, dzieła kaznodziej angielskiego Dyke’a, która zostało opublikowane w r. 1630. Dzisiejszy francuski badacz „Maksym” — almuje wobec owego „zapożyczenia” stanowisko raczej liberalne, szanując, że sentencje Anglika są bezkolorytne i lepienne, podczas gdy La Rochefoucauld — mimo swym tycym prawdziwego artysty-filozofa.

Beer

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

- ◆ Premiera „Zemsty” była zarazem premierą dwusetnej sztuki, granej w ciągu 20 lat istnienia teatru dramatycznego im. Al. Węgierki. Reżyserowała Stefania Domańska, scenografia Krzysztofa Pankiewicz.
- ◆ Czarna Białostocka bije dwa rekordy. Pierwszy: całonocny marazm życia kulturalnego. Drugi: obroty roczne sklepów GS wyniosły 21 mln zł, w tym jednego alkoholowego — 4,3 mln zł. Warto się zastanowić nad zaleszcnością tych obu spraw.
- ◆ Na 326 gromad w województwie 263 ma biblioteki, a 119 bibliotek ma także czytelnice. Tak więc na utworzenie biblioteki czeka jeszcze 57 gromad, głównie w powiatach Mońki, Grajewo i Sokółka.
- ◆ W istniejącym od roku Pow. Domu Kultury powstało ognisko plastyczne. Kierownik ogniska, Józef Charyton, „uwziął się” zwłaszcza na młodzież, która chętnie i tłumnie przychodzi na zajęcia.

KIELCE

- ◆ Zarząd Wojewódzki ZWM i Zarząd Okręgu Zw. Plastyków zawarły porozumienie, które przewiduje: 1) plastycy otrzymają na wsi bezpłatne mieszkanie i wyżywienie przez 14 dni oraz zwrot kosztów podróży, 2) plastycy zajmą się tematyką wiejską, przeprowadzą po 3 spotkania z młodzieżą i nadeślą prace „wiejskie” na wystawę pod koniec roku.
- ◆ W wyniku konkursu ekspozytury CWP najpopularniejszym w Kielcach filmem polskim okazał się „Pierwszy dzień wolności”. „Kanał” zajął szóste miejsce, a słynna „Pasazerska” przedostatnie. Wśród aktorów zwyciężył Czubalski, wśród aktorek — Czyszczyńska.
- ◆ Muzeum Zeromskiego chciało wierne odwzorzyć mundurki śląskiego pisarza. Trzeba było zdobyć 2,5 m tkaniny tkanej. Ponad 20 fabryk kolejno odmówiło, wreszcie łódzkie Zakłady Przemysłu Włókiennego im. 3 Maja przyjęły niezwykle zamówienie.

LUBLIN

- ◆ Ostatnio odbyło się plenum KW PZPR na temat pracy partyjnej z inteligencją wiejską. Referat Egzekuty-

wy wygłosił sekretarz KW, Edward Machocki.

- ◆ Byli działacze organizacji młodzieżowych ufundowali sztandar dla miejskiej organizacji ZMS.
- ◆ Bywalec Woj. Domu Kultury utworzył „Klubowy teatr propozycji”. Na pierwszej premierze czytano sztukę Al. Rymkiewicza „Lekcja anatomii prof. Tulpe”, następnie odbyła się dyskusja. W planach dalsze sztuki, ukazujące się w „Dialogu”.
- ◆ Katedra Etnografii i Etnologii UMCS rozpoczęła badania nad przemianami, jakie zachodzą w kulturze wiejskiej pod wpływem mechanizacji rolnictwa i współczesnej wiedzy rolniczej.
- ◆ 20 akwarel Jerzego Królkowskiego pokazano na wystawie w Grenoble we Francji. Plastyk mieszkał tam kilka lat i dwukrotnie miał własne wystawy. Tak się one tam podobały, że z Lublina przywieziono nowy zestaw.

RZESZÓW

- ◆ W Sanoku odbyła się dwudniowa wojewódzka narada sekretarzy propagandy KP PZPR oraz komitetów zakładowych PZPR przy większych fabrykach. Jeden z trzech omawianych tematów: formy upowszechniania kulturalnym uznano PGR-y.
- ◆ Ponad 100 absolwentów wyższych uczelni spotkało się w Lubaczowie z przedstawicielami UMCS i wia z woj. rzeszowskiego. I sekretarz KP PZPR w Lubaczowie M. Os zapelował do studentów lubelskich o pilnie prac dyplomowych na temat pow. lubaczowskiego.
- ◆ W wyniku energicznej akcji komitetu społecznego w Łancucie zebrano w ub. r. na budowę PDK 2238 tys. zł. Od kilku miesięcy sprawa jednak zamarła. No i on robić z pieniędzy? Na rozpoczęcie robót za mało, na czekanie zbyt długo...
- ◆ Trwają prace przygotowawcze do wydania pierwszego numeru kwartalnika „Nauka, oświata, kultura”.
- ◆ W Rzeszowie zmarł Bogusław Butrymowicz, kiedyś sławiony przez Przebyszczyńskiego jako bardzo zdolny poeta Młodej Polski. Potem zajął się tłumaczeniami z greckiego. Po wojnie wrocławskie Ossolineum wzniosło dwa tłumaczenia Arystofanesa: „Zaby” i „Achareńczy”.

*Fraszki
na Millenium*

LECH, CZECH I RUS

Lech, Czech i Rus w tym mają prymat, że się spotkali — tu. Lech wyznani wolałbym (oczywiście ze względu na klimat), by się byli spotkali np. na Riwierze.

PODANIA

O początkach naszych mówią legendy, podania. Stąd do dziś dnia wciąż piszemy o wszystkim podania.

NIEOCZEKIWANI GOŚCIE

Zjawili się nagle u Piasta anieli w aureoli. Do dziś się tak zjawiają z miasta też nagle. Z kontroli.

MYSZY

Myszy zjadły Popieła, co w uciele wspaniałej potrul stryjców wypitkiem. Węc na cześć symbolu do dziś widują myszy białe ci, co zbyt toną w alkoholu.

MARIAN
KACZMARCZYK

Myśli
nie pożłacane

Niektórzy cierpią na tak wielki kompleks niższości, że nawet sobie nie śmia mówić per „ty”.

Nie graj roli, na której nie dobrze- go nie wyrosnie.

Nie jeden idzie za prawdą, by w odpowiedniej chwili podstawić jej nogę.

I z kluczowego stanowiska można trafić pod klucz.

Zawsze nam trzeba więcej niż mamy, nawet, gdy mamy tyle, ile nam trzeba.

Przepraszam

Zauważyli chyba państwo, że przyjąwszy rolę społeczno-towarzystwskiego świątoburcy po dwóch felietonach utknąłem. Wyszczęszy mniejszym spod nadzoru medycyny obiecuję poprawę: będę szokował dalej. Na razie jednak winien jestem odpowiedzieć niejakiemu Janowi Alojzemu Kierpcowi, a to z tej racji, że swoje niezrozumienie felietonu „Bon ton à la Jourdain” zapakował do koperty i przysłał mi („Kamena”, 23.II.65) w formie listu. Wypada odpowiedzieć, w dalszym więc ciągu zwracam się bezpośrednio do niego. Przepraszam, że w niektórych przypadkach przyjdzie mi przypomnieć tabliczkę mnożenia.

Panie K. Z satysfakcją wychyciłem pan moją rzekomą nieznaną różnicę między accent grave i accent aigu. Przykro mi, ale muszę pana tej przyjemności pozbawić: znajomość taką posiadam. Indyferentnym w tym względzie wykazują natomiast drukarze czy korekta, za co już nie ponoszę odpowiedzialności. Można niemal w każdej książce znaleźć parę błędów zeerskich, których nikt nie przypisze ani Iwaszkiewiczowi, ani Dygutowi, ani Rudnickiemu. W tym samym zresztą numerze „Kamena”, w którym zamieszczony został pański list, jest mowa o pomyleniu numeracji stron w pewnym zbiorze reportaży. Wyciągnijmy stąd wniosek, że reportażysta nie umie rachować.

Tak więc akcenty zamiast błysnąć spaliły na panewce. Nie wiem jednak, do czego minty postużyć.

KOŻMA PRUTKOW

*Aforyzmy
(z „Owoców rozmyślań“)*

Pierseionek zaręczynowy jest pierwszym ogniwem w łańcuchu pożycia małżeńskiego. Lepiej powiedz mało, ale dobrze. Jeżeli chcesz być piękny, wstąp do huzarów. Jeżeli masz fontannę, zatkaj ją; niech i fontanna odpocznie. Pierwszy krok dziecka, to pierwszy krok do jego śmierci. Wszyscy mówią, że zdrowie jest najdroższe ze wszystkiego, ale nikt na to nie zważa. Gdy ktoś zapyta: co jest pożyteczniejsze — słońce czy księżyc? — odpowiedź: księżyc. Albowiem słońce świeci w dzień, kiedy i tak jest jasno, a księżyc — w nocy. Ale z drugiej strony: słońce jest lepsze przez to, że świeci i grzeje, a księżyc tylko świeci i to jedynie w noc księżycową. Daj kobyle prąteczka w nos, a ona machnie ogonem. Gaduła jest podobna do wahadła: i jedno i drugie trzeba zatrzymać. Patrz w dół, zobaczysz dół. Patrz w niebo, zobaczysz niebo. Ale spojrzawszy w lustro, zobaczysz tylko siebie. Gdzie początek tego końca, którym kończy się początek? W głębi każdej piersi kryje się własna żmija. Człowiek koresponduje z całą kulą ziemską, a dzięki drukowi utrzymuje kontakt nawet z odległym potomstwem.

Przełożył: Stefan Orzyk

Mniej niż o przecinku

kie samo podstawienie pseudo-wartości w postępowaniu polemicznym, jak karykaturalne nadużycie „Jask swoich” w życiu towarzyskim.

Nie są natomiast winą drukarzy lapsusy, które w swym liście popełnił pan. Oto małeńki serwisik:

1. Adresatem listu kierowanego do mnie nie może być nikt poza mną. Tymczasem czytamy, że tym adresatem jest redakcja „Kamena”. Proszę w słowniku zaznaczyć się z hasłem „adresat”, następnie się zdecydować. *)

2. Niech pan sobie przypomni pierwsze zdanie swojego listu. Brzmi ono: „Piszę do pana bez ozdobnika „szanowny”, w sposób logicznie wystarczający, bo nie znając pana oświadczenie nie mogę „szanować”, nie bujamy się”. I: tu so-

bie pan winszując logicznych wywrotek? Jest ich, bagatelka: trzy.

Pierwsza. Występowałem przeciw pseudo-grzeczności podszywającej się pod miano kultury, a nie przeciw utartym przez tradycję obójnym zwrotom, do których należy m. in. „Szanowny Panie”. Rezygnując z „szanownego” mógł pan zrezygnować również z „pana”, a do-

piero to z pańskiego stanowiska trzymałoby się kupy. Nie jestem bowiem i panem — w znaczeniu władcy. Kiedy chce pan moją tezę zdyskredytować doprowadzając ją do absurdu, to winien pan jednako potraktować wszystkie wynikające z niej konsekwencje.

Druga. „Nie znając oświadczenie nie mogę szanować”. Dość osobliwe. Mnie np. fakt, że nie pijam kawy z prof. Kotarbińskim wcale nie przeszkadza żywić doń szacunek z jego wiedzę, humanistyczną postawę, przekonania itp.

Trzecia — to owo kapitalne „nie bujamy się”. Czy ktoś pana bujał o potrzebie szacunku dla mnie? Czy w swoim felietonie bujałem, że należy do kopy żyć szacunek aprioryczny? Nie? To od „pani do francuskiego” proszę pójść do „pana cd polskiego”, który pouczy o funkcjonalności słowa i celowości jego użycia.

*) To nie słowa autora listu (Red.)



A WIĘC PYTAJĄCY ZOSTAŁ SFRUSTROWANY. Prawda, jaki piękny wyrazik! (patrz tytułowa strona n-ru 1940 „Przekroju”, napis pod rysunkiem). Pochodzi od frustru, frustravi, frustratum, frustrare. A po polsku, bez snobistycznych udziwnień czy staroślacheckich ciągotek do łaciny, oznacza to, że gość został wystrychnięty na dudka, wykłany, wyprowadzony w pole, oszukany, wprowadzony w błąd, zdezorientowany.

WCALE NIE MALOWANA LALA. Z tegoż n-ru „Przekroju” dowiadujemy się, że Karin Stankiewicz „od kilku miesięcy jest pełnoletnia”, „uzupełnia swoje ogólne wykształcenie” i ulubionymi jej autorami są Dygak i... Balzak.

ALEŻ BRYNDZA! Wydział Budżetowy i Gospodarczy MRN w Ostrowcu Świętokrzyskim na propozycję zaprenumerowania „Kamena”, pisma czterech wschodnich województw, a więc i kieleckiego, do którego Ostrowiec należy, odpowiedział „nie będziemy mogli skorzystać z waszej propozycji z uwagi na brak środków finansowych”. Roczna prenumerata „Kamena” wynosi 48 zł.

-kaj-



KLIN: Co sądzisz o ostatnim wierszu naszego przyjaciela, Klana? KLON: Oświadczenie wołę krzyżówki Tadzja Gwardaka w „Szandarze Ludu”. Rys. A. Liman

ZYGMUNT MIKULSKI

Na razie winszując bogactwa lapsusów w jednym zdaniu.

3. Jeżeli w pańskiej rodzinie za złe panu mają naturalne posługiwanie się półmiskiem w rodzinnym gronie, proponuję następującą formułkę: „Najdroższa Matko i Czcigodny Ojcze. Będąc Waszym potomkiem w linii prostej zwracam się z uprzejmą prośbą o udzielenie mi pozwolenia na dodatkowe skorzystanie ze środków spożywczych znajdujących się przede mną. Prośbę swoją motywuję faktem, iż we wnętrzu mego biologicznego jeststwa...” Nie wiem jednak, czy matka się nie rozplacze.

4. Nie wiem również, jaki związek widzi pan między moją tezą o potrzebie prostoty w obcej, a otrzymywaniem przez pana dwóch w szkole. To ostatnie związanie jest raczej z faktem, że pan — nie umie. Radzę się uczyć, dwójki znikną, może nawet lepiej będzie z rozumieniem niektórych felietonów.

5. Stasiak ma rację, ale z faktu, że Słowianie ościenni mają metro nie wynika, że wszyscy Słowianie ościenni mają metro. Są też tacy, którzy — jak my — jeżdżą tramwajami. Chyba nie chce pan twierdzić, że nieznaną osobę pewnych realiów może być argumentem przeciw nie mającym nawet związku z owymi realiami propozycjom.

Na koniec radzę jeszcze raz przeczytać felieton „Bon ton à la Jourdain”. Może znajdzie się tam jakiś nie zauważony dotąd błąd drukarski, wtedy będzie sposobność do nowego polemicznego listu. Bo na temat przeze mnie poruszony, miłośnicie pozornie ukladności, która się stroi w piórka kultury, rozmówcy u pana nie znalazłem.